



N^o 35.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 26 sierpnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Kronika tygodniowa. — Ludwik Wołowski (drzeworyt). — Przegląd polityczny. — Szewkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Sabat w małym miasteczku (drzeworyt). — Wyprowadzenie zwłok ś. p. Aleksandra hrabiego Fredry, odbyte we Lwowie (drzeworyt). — Sprostowanie. — Przejazdka po Kurlandyi (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Poradnik dla kupujących książki (dokończenie). — Z przeszłości (poemat). — Widoki Warszawy rytowane w XV, XVI i XVII wieku. — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dalszy ciąg). — Krucjata filozofii oświeceni. — Instynkt i inteligencya zwierząt (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

Z a g r a n i c z n a.

Tą razą wielka strata, którą poniósł świat naukowy, nie ulega już wątpliwości. Ludwik Wołowski umarł w Gisor, niedaleko stolicy Francyi, d. 14 b. m. Jeszcze w tomie 13 seryi II naszego pisma (numera 318 i 319) pomieściliśmy obszerny życiorys, wraz z portretem nieboszczyka, celem uczczenia jego zasług na polu pracy społecznej i naukowej. Obecnie, z powodu śmierci znakomitego pracownika, oraz z uwagi na to, że nowa serya Tygodnika przysporzyła naszemu pismu wielką bardzo liczbę zupełnie nowych prenumeratorów, którzy portretu ś. p. Wołowskiego nie widzieli i życiorysu nie znali, portret ten uważamy za stosowne powtórzyć, dołączając krótki rys biograficzny nieboszczyka.

Ludwik Wołowski urodził się w Warszawie, d. 31 sierpnia 1810 roku. W roku 13 życia wywieziony do Francyi, tam się kształcił do roku 1827, w którym powrócił do kraju. Nauka i zdolności wypromowały go rychło na kapitana sztabu generalnego, następnie na referendarza Rady stanu; lecz po roku 1830 wyjechał do Paryża i już ztamtąd nie powrócił.

Wołowski w kraju jeszcze poświęcił się głębokim studjom prawa i ekonomii, które teraz prowadził dalej w stolicy Francyi. Zdobywszy już niepospolite skarby wiedzy na tém polu, wystąpił czynnie i samodzielnie, rozpoczynając wydawnictwo „*Revue de législation et de jurisprudence*,” poświęcone historii i filozofii prawa, którego pod jego kierunkiem wyszło tomów czterdzieści pięć. Działalność też Wołowskiego musiała być dziwnie obfita i niepospolicie pożyteczna, skoro w roku 1834 pozyskała mu tak zwaną wielką *naturalizacyę*. Wkrótce też w świecie naukowym zaliczonym został do rzędu pierwszych ekonomistów, a najrozmaitsze towarzystwa naukowe na wyścigi przysyłały mu dyplomy honorowe.



Ludwik Wołowski † dnia 14 sierpnia r. b.

W r. 1839 mianowano Wołowskiego profesorem *prawodawstwa przemysłowego* w konserwatorium paryżkiem sztuk i rzemiosł. Na tém stanowisku pozyskał tysiące słuchaczy, których umysły z chęcią pochłaniały słowa wiedzy, przezeń głoszone. W r. 1844, w nagrodę zasług jego w różnych kierunkach niestrudzonej pracy, ofiarowano mu krzyż oficerski legii honorowej, a w cztery lata później obrano go na prezesa rady konserwatorium. Wkrótce potem, po rewolucji lutowej, otrzymał 134,000 głosów przy wyborze na deputowanego Sekwany, później 118 tysiącami głosów powołany został do zgromadzenia prawodawczego, a jednocześnie i do komisji municypalnej Paryża.

Niepodobna nam tu wyliczać prac Wołowskiego, które ogłosił drukiem. Były pomiędzy niemi wydane w języku polskim, przeważnie jednak pisał po francuzku. Ciekawych czytelników odsyłając do życiorysu nieboszczyka, wyżej zacytowanego, dla ogółu ich wyjmujemy z niego ustęp, pięknie charakteryzujący naukową i społeczną działalność Wołowskiego.

„Za wielką chlubę poczytać należy Wołowskiemu, pisze s. p. W. Sommer, niegdyś uczeń, sekretarz i przyjaciel znakomitego ekonomisty, że dla widoków osobistych nigdy nie poświęcał swych zasad, ale przeciwnie, stawał zawsze śmiało w obronie zagrożonego sztandar i umiał zachować wobec trudnych okoliczności niezależność zdania i odwagę swoich przekonań... Żarliwym będąc zwolennikiem wolności handlu, na przekór rutynie i rządzącej opinii, domagał się nieustannie, za przykładem Cobdena, z którym pozostawał w ścisłych stosunkach, zniesienia na zewnątrz państwa wszystkich sztucznych zapór, tamujących swobodną wymianę plodów pracy ludzkiej. Jednocześnie atoli żądał także wewnątrz kraju zupełnego usamowolnienia pracy, wyswobodzenia jej z wszelkich więzów i otoczenia rękami swobody.“

Niepospolitą zasługę Wołowskiego stanowi założenie w r. 1852 towarzystwa kredytowego ziemskiego p. n. „*Crédit foncier de France*“ na czele którego stanął osobiście. Kierunek jego był tak trafny, a powodzenie towarzystwa tak nadzwyczajne, że w ciągu lat kilkunastu stało się ono najpotężniejszym we Francji zakładem kredytowym, po banku francuzkim.

W r. 1855 akademia umiejętności moralnych i politycznych powołała Wołowskiego na członka Instytutu, zaszczyt najwyższy, jaki uczonego we Francji spotkać może. Zajął tu miejsce po Blanquim, autorze historii ekonomiki, po którym także w r. 1864 objął katedrę tej umiejętności w konserwatorium sztuk i rzemiosł. W tym samym roku wybrany został wice-prezesem akademii, której był członkiem, a w rok później prezesem.

Nieubłagana śmierć spotkała Wołowskiego na nowem i równie zaszczytnem stanowisku dożywotniego senatora Francji. Stronnictwo republikańskie umiarkowane na stanowisko to powołało go przy tworzeniu senatu w roku bieżącym, i stronnictwo to traci w nim reprezentanta, którego głos umiejętny, prawy, zacny i wymowny silnym jego działaniem był poparciem.

Należy dodać, że na jakimkolwiek bądź stanowisku, wśród pracy mozolnej i najwyższych zaszczytów, Wołowski nie zapomniał że się urodził w Warszawie. Jako dowód posłużyć mogą jego *Listy*, traktujące o kwestjach ekonomicznych, zamieszczone przed kilkunastu laty w „*Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych*“ a dzielnie pisane polszczyzną. Jeden to z rysów charakterystycznych tej szlachetnej duszy, która tyle światła wypromieniowała z siebie na ludzkość, iż godzi jej się życzyć tysiącami ust i serc spokoju w wielkiem świetle po za ziemią.

Jedno z najlepszych pism agronomicznych polskich, „*Rolnik*“, organ urzędowy ces. król. Towarzystwa gospodarskiego w Galicji, przeszedł od 15 lipca r. b. pod redakcją pana D. Abrahamowicza, przy współudziale grona profesorów szkoły rolniczej w Dublanach, a jednocześnie zmienił dotych-

czasową swą formę. „*Rolnik*“ do tej pory wychodził w zeszytach miesięcznych, pokroju ósemkowego; obecnie zamienił się w dwutygodnik, pokroju wielkiej czwórki, którego każdy numer obejmować będzie po dwa arkusze druku.

Redakcyja zmianę tę zewnętrzną usprawiedliwia potrzebą częstszego dostarczania gospodarzom wiejskim wiadomości dotyczących się ich zawodu; co do treści zaś, pragnie uczynić „*Rolnika*“ nietylko zbiorem wyczerpujących artykułów naukowych, ile raczej drogowskazem, doradcą ziemian w najżywniejszych ich sprawach, polem spotykania się sił i ściągania zdań różnorodnych.

Program to bardzo trafny i nie wątpimy że piśmu temu zapewni szersze jeszcze niż dotąd rozpowszechnienie. Pod względem zresztą wewnętrznym „*Rolnik*“ tak dalece nie zrywa z przeszłością, że w pierwszym swym numerze nowego formatu zamieszcza nawet parę dalszych ciągów z ostatniego zeszytu czerwcowego.

Szczęście Boże pożytecznemu organowi na świeżo obranej drodze!

K r a j o w a.

Pisaliśmy już nieraz w kronice naszej o konieczności wprowadzenia gimnastyki do wychowania zarówno domowego, jak i szkolnego. Głos nasz w tej sprawie nie był odosobnionym; miał on wtór poważny w rozumnych nawoływaniach do gimnastyki ze strony specjalistów i pedagogów; ale wszystko to sprawy tej nie posunęło ani o krok naprzód. W kwestyi *rozwoju* gimnastyki w kraju naszym mamy obecnie do zanotowania... zwinicie zakładu gimnastycznego p. Wyrzykowskiego.

Niebardzo to pocieszający objaw... ale bardzo logiczne następstwo zaniedbania gimnastyki w wychowaniu młodzieży. Po co i na co miałby istnieć zakład, kiedy liczba korzystających z niego jest tak mała, że ani rozwoju, ani nawet warunków bytu zapewnić mu nie może?

Pan Wyrzykowski wprowadził od lat trzech bardzo pożyteczny zwyczaj dawania sprawozdań dorocznych z działalności swojej. Ze sprawozdania na rok 1875/6 (od lipca do lipca) dowiadujemy się, że z pomocy nauczycielskiej tego gimnasty korzystało na mieście ogółem osób 1217 w ciągu roku poprzednim. Godzin lekcji było 518, a przyniosły one p. Wyrzykowskiemu rs. 487 kop. 9—dochód bardzo mały. W zakładzie trzy tylko osoby pobierały lekcje gimnastyki, ogół zaś co do płci rozkłada się na mężczyzn 740 i kobiet 480. Lekcje opłacano niezmiernie tanio, bo przy wykładzie zbiorowym godzina kosztowała kop. 94; i to jednakże nie zachęcało do korzystania szerszej publiczności z pomocy pana Wyrzykowskiego.

Ze sprawozdania dowiadujemy się także, iż z zakładów naukowych zażądały od pana W. lekcji gimnastyki dla swoich wychowanców i uczniów: cztery pensje żeńskie, jedno progimnazjum, jedno gimnazjum i seminarjum nauczycielskie. Cyfra to wcale nie świetna. Korzystały też z lekcji gimnastyki: osiem ochron warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, wychowanców domu schronienia starozakonnych i dzieci z ochrony tego domu.

Miniature te rezultaty usiłowań i namów specjalistów dopóty niezawodnie w wykazach i sprawozdaniach figurować będą, dopóki szerszy ogół nie zainteresuje się bliżej nie obezna z korzyściami, jakie sprawie wychowania zapewnia gimnastyka. Nieprzyjdzie jednakże do tego, jeśli nie zdobędziemy się na stowarzyszenie gimnastyczne, które byłoby najskuteczniejszym środkiem poparcia tej ważnej sprawy. Przed dwoma laty mówiono i pisano, że kółko lubowników gimnastyki postanowiło się starać o założenie takiego towarzystwa i że nawet poczyniło już odpowiednie kroki, ale dzisiaj nic już o tém nie słyhać i zapewne skończyło się na dobrych chęciach. A wartoby kwestyją tę poruszyć powtórnie.

* * *
Drożyna mieszkań nastęrczyła „*Kuryerowi warszawskiemu*“ sposobność do wystąpienia z projektem, który, gdyby mógł przejść w rzeczywistość, przyniosłby niemałe korzyści urzędnikom dróg żelaznych.

Jak wiadomo, przy drogach tych istnieje kasa wzajemnej pomocy, a razem i emerytalna, do której urzędnicy obojętnie wnoszą odpowiednie składki. Z tych składek tworzą się stosunkowo ogromne kapitały, leżące bezczynnie. Otóż *Kuryer* proponuje, aby kapitały te obrócić na budowę domów o tanich mieszkaniach dla urzędników drogi żelaznej, a tym sposobem znalazłyby one pomieszczenie pewne i procent o wiele większy, niż leżąc w papierach publicznych.

Nie wiemy o ile takie rozporządzenie kapitałami kasy byłoby w zgodzie z przeznaczeniem jej i ustawą, ale za użytecznością projektu, w czyn wprowadzonego, przemawiają wszystkie pozory. To tylko jest rzeczą pewną, że drożyna mieszkań ogromnie trapi urzędników kolejowych, uposażonych wogóle bardzo skromnie... z wyjątkiem naczelników i dyrektorów... Ci ostatni panowie mają mieszkania bezpłatne i drożyna lokalów wcale ich nie dotyka, kiedy tymczasem niżsi urzędnicy oddają prawie całą pensyą za jakie takie pomieszczenie. Wartoż pomyśleć o możliwej dla nich uldze, której potrzebują bardzo, a wybudowanie pomieszczeń dla jakiego tysiąca urzędników kolejowych wpłynie może korzystnie, chociaż w małej części, i na ogólną kwestyją lokalów.

* * *
Młodzież szkolna siedzi już na szkolnych ławach i mozoli się nad książką. We wszystkich przybytkach jej pełno, a rezultat zapisów taki, iż dwie trzecie chłopców, którzy się do niego zgłosili, musiało odejść z niczem. Niema miejsca, czyli, co na jedno wychodzi: szkół jest zamało.

Jest to zarazem i smutne, i pocieszające. Smutne dlatego, że nie wszystkie dzieci, co wiedzy pragną, mają ułatwiony jej nabytek, a pocieszające że dzieci takich z rokiem każdym coraz więcej, że przeto potrzeba światła wnika coraz głębiej w masy. Pocieszającym jest ito, że wśród młodzieży, garnącej się do nauki, coraz więcej zgłasza się dzieci izraelskich. Dobry to zasięg dla przyszłości, oby tylko ogół żydowski chciał zrozumieć korzyści oświaty!

Co do braku szkół, słyhać że władza miejscowa krząta się, aby mu zapobiedz. W tym celu podobno wyjednała pozwolenie na otwarcie klas dodatkowych przy gimnazyjach i progimnazyjach. Dziwi nas tylko, że brakowi temu nie zapobiega otwieranie progimnazyjów prywatnych. Wszakże to nie byłby nawet zły interes, skoro korzyści zapewnią nieodzowna potrzeba.

Tu jednak moglibyśmy rzucić pytanie: a co się też dzieje z dawniej otwartymi szkołami prywatnymi?... Cicho o nich, wiadomości same o sobie skąpią, sprawozdań nie dają żadnych... Musi im się nieźle powodzić, skoro nie szukają reklamy i rozgłosu, ale nie zawadziłoby, żeby też i publiczność wiedziała, co się to w nich robi. Szkoła każda stoi na widowni publicznej i stać na niej powinna, a jeśli ma być zaspokojeniem potrzeby ogólnej, niech się też i przed ogółem z istnienia i działalności swjej liczy.

* * *
„*Emigracya chłopska*“, komedya Anczyca, która otrzymała nagrodę na ostatnim konkursie krakowskim, od zeszłego poniedziałku gromadzi w Tiwoli tłumy publiczności. Autor doznaje przyjęcia niezmiernie życzliwego, a sztuka, słuchana bacznie, pobudza do częstych i hucznych oklasków.

„*Emigracya*“ istotnie też jest sztuką napisaną dzielnie, pełną życia, prawdy i owej znajomości ludu, w której Anczyca celuje. Tendencją, a raczej zadaniem, stoi ona wyżej niż „*Łobzowanie*“ i „*Chłopi arystokracji*“, i kiedy dwie ostatnie sztuki nie wychodzą z granic wyborniej charaktery-

styki, ona sięga wyżej, ma cel społeczny i w różnych scenach wznosi się nawet do dramatu.

Treścią jej, jak to sam tytuł wskazuje, jest epidemiczna dzisiaj wędrówka galicyjskiego chłopca na obczyznę, do „Hameryki“, za kawałkiem chleba. Z chłopcem dzieje się na niej tak, jak z owym psem w bajce, co ujrzał w wodzie kawał mięsa... rzucił więc ten, co go trzymał w zębach, a tamtego nie dostał. Rozczarowanie, nędza, tęsknota poniewczasie, na którą już lekarstwa niema—oto skutki lekkomyślności i szkodliwej wiary w zapewnienia pierwszego lepszego obieżyświata. Żyd arendarz galicyjski, wcielony szatan-kusiciel, i Niemiec, co świat „kultywuje“ ku celom własnych zysków—grają tu niepospolite role. Ta godna spółka kusi, namawia, zachęca, przedstawia świetność dni niedalekich na obczyźnie—a w rezultacie wywłaszcza, obdziera i gubi.

Sztuka robi wrażenie bolesne... choć tchnie prawdą w najdrobniejszych szczegółach. Autor grał na własnych sympatyach i antypatyach, kręśląc jej postacie i sytuacje, i widocznie szło mu o to tylko, aby wywołać bolesną nadmiarę rzeczywistości. Chłopkowie, podbechtani przez Żyda i Niemca, rzucają własną zagrodę i domowe strzechy, puszczają się w daleką podróż i w Ameryce dopióro oglądają prawdę całą, smutną, bolesną. Nędza uczy ich, gdzie prawdziwe szczęście. Ale to już zapóźno. Niema środków powrotu i cierpieć trzeba aż do końca.

Do bardzo pięknych pomysłów autora musimy zaliczyć ostatnią scenę trzeciego aktu, w której postrzelony przypadkiem Wojtek umiera bez pomocy, bez pociechy, bez spowiedzi i nadziei chrześcijańskiego pogrzebu. Pięknym też jest cały akt czwarty, w którym chłopkowie na obczyźnie obchodzą wigilię Bożego narodzenia. Ojczysty obyczaj nabiera tu w ich oczach religijnego znaczenia, a pod wpływem jego potęgi zepsute serce Bartka, złodzieja, podpalacza i wytrawnego zbrodniarza, odczuwa skruchę poprawy i czyści się, jak złoto w ogniu.

Wogóle „Emigracya chłopów“ jest świetnym nabytkiem dla literatury dramatycznej i niepospolitą zdobyczą...konkursową. Za wystawienie jej należą się serdeczne dzięki panom Doroszyńskiemu i Terenkoczemu, którzy tak pocziwie pracują dla sztuki, a komedią, o której mowa, opracowali ze szczególnym zamiłowaniem. Sprawiono do niej nowe dekoracje, nowe kostiumy, grano ją starannie i umiejętnie, a Tivoli, zbrudzone przeszłością, pod technieniem sztuki prawdziwej, gromadzi publiczność wyborową. Wszystko to owoce usiłowań zacnych, którym się też należy poklask i poparcie.

* * *

Po „Stariej baśni“ J. I. Kraszewskiego, w dalszym ciągu zbioru powieści jego historycznych wyszły z pod prasy; „Lubonie“ w dwóch tomach. Lubonie to nazwa lechickiego rodu, który wyszedł z pod kmieciej strzechy, a dał ojczystej krainie apostoła Własta. Jest też powieść historia życia tego Własta, co wzięty młodzieńcem w niewolę przez Niemców, na obczyźnie nauczył się nowej wiary i z nią wrócił do rodzinnej zagrody.

Wiek to Mieczysława I, wiek świtania idei Chrystusowej na ziemiach polanskich, a i zupełnego politycznego przewrotu w powoli powstającym państwie. Z wieców, z obrad tłumnych, co wybierały kneziów i wojewodów, państwo coraz wyraźniej dąży ku sumowładztwu panujących, a wprowadzenie chrystyanizmu daje im nową potęgę do ręki... Czasy to więc w dziejach ważne, czasy stanowczego zarysowania się na karcie Europy i samodzielnego oporu przeciwko parciu germańskiemu, z pod którego też nieprawnej hegemonii ziemie lechickie teraz się wyłamać mają.

Z tej jednakże epoki historia tylko okruszyny podań nam przechowała, a z tych ułamek drobnych, ździebeł rozproszonych, zmysł krytyczny niełatwo prawdę wykrzesać może. Czcigodny Kraszewski utworzył tu przeciw obraz wspomniały, pełen barwy; w opowieści swęj przed-

stawił wszystkie prawie dążenia czasu i ludzi, a przedstawił to na tle obyczajowości ówczesnej, odgadnionej, odczutej w większej części, bo i do niej rysów prawdziwych a skończonych znaleźć w historii niepodobna.

Przegląd polityki zagranicznej.

25 sierpnia.

Na polach między Niszem i Aleksinaczem rozgrywa się w tej chwili los wojny serbsko-tureckiej; rozgrywa się, prawdopodobnie, stanowczo. Ufortyfikowane przez Serbów stanowiska pod Suprowaczem napadnięte zostały pierwszy raz przez Turków dnia 19 b. m., i odtąd, jak donoszą z Białogrodu, walka toczy się codziennie, wznawiana każdego rana z ogromną zaciętością i obu stronnym wysiłkiem. Jakie są dotychczasowe rezultaty tej walki, nie wiedzieć nie można. Serbowie w pierwszych paru dniach przypisywali sobie nawet zwycięstwo i donosili o przepędzeniu Turków za granicę; Turcy, przeciwnie, mieli zaraz pierwszego dnia zająć pozycje serbskie, będące kluczem do zdobycia twierdzy aleksinackiej. W późniejszych doniesieniach, Serbowie nie mówią już o odparciu wroga, ale zato twierdzą że obie strony utrzymują się ciągle na swoich stanowiskach i że Turcy nie zdołali się wcale przybliżyć do Aleksinaczu; w depešach znowu konstantynopolitańskich znajdujemy ciągle potwierdzenie pierwotnego doniesienia, a nawet w ostatniej czytamy o zupełnym otoczeniu Aleksinaczu i blizkim bombardowaniu tej twierdzy. Ze strony tureckiej jest głównym dowódcą Achmed Ejub-pasza, a ze strony serbskiej Czerniajew. Znajdujące się w ogniu siły obu armii wynoszą 160.000. Zaraz z początku tej bitwy, pułkownik Horwatowicz wysunął się daleko na lewe skrzydło i zajął zdobyty niedawno przez Turków Kniazewacz, czyli właściwie ważny pod tym miastem punkt strategiczny, Tresibabę, którego niedawno bronił tak bohaterko przez pięć dni z rzędu. Bitwy tam prawdopodobnie nie było, Turcy bowiem, wyruszywszy pod Aleksinacz, musieli sami to stanowisko opuścić. Armia Czerniajewa w Aleksinaczu zdaje się wiele liczyć na pomoc Horwatowicza, który zręcznym ruchem mógłby Turków obejść i uderzyć na nich z tyłu. Jeżeli jednak Achmed Ejub ma pod swemi rozkazami, jak piszą, 100,000 żołnierzy, to może podołać nawet dwustronnej walce, tém bardziej że Horwatowicz dowodzi zapewne niezbyt licznym oddziałem.

Jednocześnie z rozpoczęciem ruchów zaczepnych w dolinie rzeki Morawy, wojska tureckie przeszły także do zaczepnego działania i w innych punktach. Wszelako nad Timokiem, Ibarem i Dryną obu stronne siły nieprzyjacielskie równoważą się ciągle i przebieg wojny w tamtych stronach bardzo słabo wpływa na ogólne położenie walczących z sobą krajów. Serbowie nawet mogą tam odnosić teraz pewne korzyści, gdyż zarówno z Siennicy, jak z Bośni, Turcy mieli pośpieszyć na południe, żeby dać odsiecz Muchtarowi paszy, obleżonemu przez Czarnogórców w Trebinii. Czarnogórcy, dzielni na polu bitwy w górach, odnieśli przed tygodniem nowe walne zwycięstwo nad Turkami, w okolicy pogranicznej albańskiej, zamieszkiwanej przez plemię Kuczów. Ale wojska księcia Mikołaja nie mogą niestety korzystać ze swoich tryumfów, gdyż nie umieją zdobywać fortec. Takie małe twierdze jak Nikszyc, Bilek, Trebinia, Medun, powinnyby już dawno znajdować się w ich ręku. Zwłoka wychodzi Turkom na korzyść i bardzo być może iż Muchtar pasza, otrzymawszy posiłki, wystąpi teraz zaczepnie, co może mu się powieść témbardziej, że prawie cała armia czarnogórska jest dziś zaangażowaną na południu kraju, a w Hercegowinie Piotr Wukoticz rozporządza niewielkimi tylko siłami. Choćby jednak Serbowie, korzystając z odsunięcia się armij tureckich od Ibaru i Dryny, odnieśli tam pewne korzyści, taki rezultat niewieleby zawa-

żył na szali wojny, której ogniskiem jest w tej chwili Aleksinacz. Przegrana Serbów pod tą twierdzą otworzyłaby Turkom drogę do Białogrodu, gdyż trudno przypuścić, ażeby armia zwyciężona miała jeszcze czas i możność do nowego skoncentrowania się gdzieś dalej, w głębi kraju. Od pewnego czasu w Białogrodzie przestano się już ludzi świetnymi nadziejami i w łonie samego ministerium objawiła się dość silna agitacya na korzyść pokoju. Ponieważ zaś wszystkie rządy kilkakrotnie już ofiarowały księciu Milanowi swoje pośrednictwo, doradzając mu bądź zawieszenie broni, bądź pokój, przeto spodziewać się można, iż nawet w razie częściowej wygranej pod Aleksinaczem, rozpoczną się wkrótce układy pokojowe. Półrządowe organa austriackie zapewniają że Porta zgodzi się na złagodzenie warunków pokoju, które pierwotnie miała na myśli i które chciała Serbią zgnębić tak materialnie, jak i moralnie. Ze Stambułu atoli donoszą, że Porta nie traktowała jeszcze z żadnym mocarstwem w kwestyi pośredniczenia o pokój, i że przed rozstrzygnięciem wojny siłą oręża nie myśli się wdawać w żadne układy. Zdaje się że i inne mocarstwa dość obojętnie traktują sprawę medyacyi, że nawet wołałyby jej uniknąć, zostawiając los chrześcijańskiego księstwa na łasce wypadków wojennych. Cała sympatya Europy dla uciśnionych przez Portę współwyznawców milnie wobec interesów równowagi politycznej, które w pierwszorzędnym gabinetach odgrywają najważniejszą rolę. Czy jednak interesa te nie będą jeszcze bardziej zagrożone po zwycięstwie Turków nad Serbią, to pytanie zasługujące na większą uwagę, niż mu przyznaje publicystyka europejska. Układy pokojowe mogą być groźniejszym dla Europy momentem, niż wojna obecna.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

— Pośpieszaj-no tylko!... Ruszaj do mlęczarki i powiedz, żeby ci dała świeżego, niezbiieranego... rozumiesz?... a ja tu ciebie przy piecu wyręcę... Żywo!... na jednej nodze!... nie przewróć się po drodze!...

Jędre, z powodu snadź że mu się finfa tak dobrze powiodła, w doskonałym był humorze, spełnił więc rozkaz majstra ochoczo i prędko. Zaledwie Kaźmirz ubrał się i umył, aliści mlęko przyniesione uprzyżyło się już i, nalane w cztery kubki, oczekiwało na stole na konsumentów, którzy z dobrym apetytem przystąpili do śniadania, odznaczającego się prostotą pierwotną. Mlęko i chleb suchy—oto wszystko. Józef, Marcin, Jędre i Kaźmirz dmuchali w kubki i, chlebem zagryzając, popijali trunek, posiadający własności jaknajzbawienniejsze. Przy śniadaniu, zawiązała się rozmowa o wypadku jaki spotkał rodzinę żydowską. Zastanawiano się nad istotą onego. Napróżno jednak. Tak istota, jak powody przedstawiały się pod postacią zagadnienia niedocieczonego, które Marcin tłumaczył zapomocą zmyru sennęj, powiadając że i jemu przytrafia się niekiedy, gdy zaśnie nawznak, doznawać ciśnienia, takiego jakby go kto z góry przysiadł.

Kiedy się rozprawa ta toczyła, Jędre uśmiechał się złośliwie. Zwróciło to uwagę Józefa.

— Czego się śmiejesz?...—zapytał.

— Tego żeś sobie gębę mlekiem poparzył—odciął chłopak.

— Chyba że nie tego....

— Dalibóg!...—zaklął się Jędre.

— Ej-że?... Domyślam się czegoś, nie wypo-wiem jednak domysłu mego, chyba tylko w razie



Wyprowadzenie zwłok ś. p. Aleksandra hrabiego Fredry, odbyte we Lwowie d. 18 lipca r. b. (Podług szkicu Błotnickiego, rysował Buchbinder).



Sabat w małym miasteczku. Rysunek Henryka Pillati'ego.

takim, jeżeli zobowiązesz się prawdę powiedzieć...

Jędrak milczał, nastroiwszy minę filuterną.

— No i cóż?... powiesz prawdę?!

— E... powiem, ale niech się Nuchim o tym nie dowie...

— Zgoda... — odparł Józef. — Owóż domysł mój jest że Jędrak wie, co się Żydom słało... To żadna zmora senna, ani nie podobnego, ale...

— Finfa... — dokończył chłopak, parszkając nagle śmiechem, którego powściągnięcie ciążyło mu już zaczynało. — Żyd nos w szybę wystawił, a ja mu w nos finfę puściłem... Ot co jest...

Śmiechem buchnął Marcin, zawtórował mu Józef i od śmiechu powstrzymać się nie mógł Kaźmirz.

— O huncwocie ty jaki!... — powtarzali kotlarze to jeden, to drugi, obciążając lzy, które się im do oczu cisnęły.

Śmieszność figla wyrządzonego przez terminatora potęgowała ta okoliczność, że Nuchim był to Żyd wielce more-morejne, poważny, milczący, głęboki, w talmudzie zatopiony, pogardą obejmujący wszystko, co się znajdowało nazewnątrz tego kółka zaczarowanego, w którym Jehowa postawił lud wybrany; słowem, był to wzór najczystszy i zarazem typ najpierwotniejszy arystokraty z rodu i z przekonań przechowanych w niepokalaności od czasów niewoli babilońskiej. Finfa, takiemu mężowi puszczona, stawała się śmieszna podwójnie. Józef pokilkakrotnie zabierał się do skarcenia chłopaka słowem surowym i zabronienia mu zbytów podobnych nadal, nie mógł tego jednak dokazać. Co palec podniósł i moralną naukę rozpoczął, to mu śmiech przeszkodził; zdobył się wkońcu na siły woli tyle, że sformułować zdołał frazes następujący:

— No... no... pamiętaj ty sobie... niech to będzie raz pierwszy i ostatni...

Jędrak bez trudności najmniejszej zobowiązał się nie puszczać Nuchimowi raz drugi finfy, myśląc sobie że „do razu sztuka“, podobna bowiem okazya nie przychodzi na zawołanie każde.

Po śniadaniu, terminator zasadzony został do ścięcia pomeksem pobiałych ze starego jakiegos naczyńia, kotlarze wzięli się do kucia, Kaźmirz zasiadł przy stoliku i ku wielkiemu zdziwieniu swemu, dostrzegł braku jednej z ćwiartek, na których daty historyczne notował. Szukał jej na stoliku i pod stolikiem... Nie znalazł i zwrócił się do Jędrka z zapytaniem:

— Nie wzięłaś wypadkiem papieru ćwiartki?...

— Wziąłem, ale nie wypadkiem, tylko umyślnie...

— I na cóż ci ona?...

— To dobre!.. A z czegożbym ja był finfę zrobił?...

Dla racyi tej, zaprzeczeniu nie podlegającej, Kaźmirz nanowo musiał odczytywać, porównywać i notować. Poszło mu to z łatwością, jako z rzeczą znaną. Około ósmej zabrał książek kilka i kajetów parę, które do teki włożył wraz z kałamarzem, ołówkiem i piórami, i poszedł do gimnazjum, odległego od pomieszkania jego o wiorst dwie bezmała. To też szedł krokiem zdwojonym, takim jakim się wiorsta w minut dziesięć uchodzi. Przyszedł — koledzy go witali uprzejmie i z tym szacunkiem, jaki wzbudza wyższość uznana a wypróbowana. Ten przybiegł do niego z prośbą o radę, ów o wskazówkę; — do rozpoczęcia lekcji pozostawało jeszcze minut dziesięć i przez ten czas przeciąg Kaźmirz przerobił dla współuczniów swoich ten z geometrii wykreślnej ustęp, który był zadany. Kręślił śmiało na tablicy figury, tłumaczył zwięźle, jasno i wyraźnie, tak że, nim nauczyciel wszedł, lekcją całą umieli ci, co wieczór wczorajszy spędzili, nie myśląc wcale o istnieniu nauki, zwaną geometrią wykreślną.

— Ej, Kaźmirzu!... — odezwał się kolejno jeden — tyś chyba cyrograf podpisał na to, żebyś wszystko umiał...

Kaźmirz uśmiechnął się jeno, nie było bowiem nic do odpowiedzi na zaczepkę tego rodzaju. Doskonale znanym był cyrograf ów, na mocy którego Kaźmirz Odreński, syn szewca, przechodził przez wszystkie klasy uczniem pierwszym.

Stary Odreński, szewc z profesyi, człek rezolucyjny i opozycyjny niecierpiący, miał synów trzech i córki dwie. Córki za mężów powydawał za rzemieślników; co się zaś synów tyczy, każdemu z nich, gdy na świat przychodził, rzemiosło wyznaczał. Najstarszemu powiedział:

— Będiesz szewcem...

I ten szewcem został.

Drugiemu z kolei, Józefowi, kazał być kotlarzem, a to dlatego, że, jak się wyrażał:

— Ludzieby się śmieli, gdyby... co Odreński to szewc... Bóg wie bowiem, ilu się ich tam jeszcze nasypie...

Po Józefie przyszły na świat córki jedna po drugiej; tym żadnego nakazu nie dawał. Dzieci dwoje umarło. Aż narodził się ostatni Kaźmirz.

— Będiesz stolarzem... — zadekretował stary.

Snadź jednak w księdze przeznaczeń chłopca tego co innego było zapisane. Kaziuk, jak go w domu zwano, od dzieciństwa okazywał nieprzeparty do książki pociąg, na który ojciec nie zważał wcale, który atoli matkę uderzył i ta powiedziała sobie w duchu:

— Kto wie, może on wyjdzie na... księdza...

Powiedziała to małżonkowi, ten ją atoli zgromił, mówiąc żeby pilnowała swoich garnków i dzieży, a nie mieszała się do tego, co do niej nie należy. Stary zarywał nieco na niedowiarka i wolał, ażeby syn jego był rzemieślnikiem, aniżeli księdzem, a że nie wyobrażał sobie, aby nauka do czego innego służyć mogła, jak tylko do wywierowania człowieka na służbę kościoła, zatem nie uważał za potrzebne posyłać synów wyżej, jak do szkoły parafialnej i uczyć ich więcej, jak czytać, pisać i rachować.

— Byle się tylko sprzedać nie dali... to dosyć... — powiadał.

Jan, najstarszy, poduczył się nieco czytać, pisać i rachować i zasiadł do pociągła ojcowskiego. Józef, młodszy, poduczył się nieco czytać, pisać i rachować i poszedł terminować w fachu kotlarskim; wyszedł na czeladnika, wyzwolił się na majstra i otworzył na swój rachunek warsztat, a raczej warształak, który mu zapewniał własny chlebaka-wałek i dawał możność czekania na donioślejszą jakąś robotę, do fabryki jakiejś, do gorzelnii lub browaru wreszcie, ażeby otworzyć pracownię na większą skalę, ożenić się i poważnie wśród rzemieślniczej stanąć braci. Kaźmirz, z rodzeństwa całego najmłodszy, poszedł ojcowi nie po myśl. Po roku terminatora, stolarz przyprowadził go starymu Odreńskiemu za ucho i rzekł:

— Weź go sobie... Nic z niego nie będzie...

Stary w furję wpadł.

— Co?... co?... czemu?... — wyjąkał.

— Jemu w głowie, nie hebel, nie dluto, nie piła, ale książka!...

— Książka?... poczekaj-że ty skurczypalko!... — przemówił stary do syna — wypędzę ja ci książkę z głowy.

I dalej-że go pociągłem okładać, od karku do pasa i od pasa niżej. Zbil Kazia na winne jabłko, poznał go przęgami sinemi od stóp do głowy.

Interwencya matczyzna nie zdała się na nic w czasie operacyi. Dopiero po jej skończeniu chłopiec dostał się w ręce matki, która też wzięła splakanego, zbolanego i sponiewieranego i otoczyła staraniem troskliwym. Położyła go do łóżka, obłożyła płatami maczanymi w wodce z mydłem, żalowała i pocieszała:

— Ojciec bije ręką ojcowską, chociaż więc bije, to żałuje... i na dobro twoje zważa... Święta ojcowska ręka... Trzeba żebyś posłuchał i książki sobie z głowy wybił...

— Mamo!... za nic!... — krzyknął chłopak głosem postanowienia niezłomnego.

— Kaziu, co tobie?... — zawołała matka strwożona. — A wola oja!..

— Niech co chce się stanie!... Ja bez książek nie wyżyję...

— Ależ ojciec!.. wola oja!..

— Ojciec... wola oja!... — powtórzył chłopak głosem zbolalym. — O mój Boże!..

— Daj książkom pokój... Książki ci chleba nie

dadzą... — perswadowała matka. Ojciec nie chce, żebyś się na księdza kierował...

Pani szewcowa westchnęła, wymawiając wyrazy ostatnie.

Westchnął i Kazio i... w czasie rekonwalescencyi swojej czytał ukradkiem dzieło, które niewiadomo jak mu w ręce wpadło, pod tytułem: *Epoki natury*, przez Buffona.

Oznaczało to że był niepoprawny.

Wola ojca, strach kary nie wywierały na niego wrażenia najmniejszego. Podlegał rozkazom potęgi jakiejś, wyższej nad wszystko — potęgi która go ślepym i głuchym czyniła tak dalece, że, pomimo iż się ojca wystrzeżał, dał mu się zajść na czytaniu *Epok natury*.

Stary zbladł na widok zbrodni tej. Zajęknął się, chcąc coś przemówić, za pociągłem się oglądał, osłupiał, ale żal go przejął, ręką machnął i rzekł:

— Z niego nic nie będzie... Niech sobie robi co chce... Ja od niego ręce umygam... Hej!.. — krzyknął na żonę — wypraw go, niech idzie w świat i sam sobie szczęścia szuka...

Był-to wybieg ze strony starego. Przekonawszy się, że bicie nie odniosło skutku pożądanego, powziął pomysł wystawienia chłopca na próby, w celu przekonania go o zgubności następstw, wynikających z zabaczenia rad ojcowskich. Matka do prób się rzuciła, lecz stary wzięł ją na stronę i w następujący przemówił do niej sposób:

— „Sztuka durniów tłuka“... Nie bój się, nie daleko on odejdzie... powróci i nietylko sam książki się nie imie, ale dziesiątemu zakaże... Wówczas zmięknie jak wosk i stanie z ochotą do terminu, jeżeli nie u stolarza, to u ślusarza, nie u ślusarza, to u rymarza... Zobaczysz... sam będzie prosił... szkoda chłopca, żeby się miał zmarnować...

Matka wyprawiła, ojciec dał pięćdziesiąt groszy na drogę; Kazio słał się mu u nóg, błagając ze łzami o zmianę wyroku; ale stary okazał się nieubłagany, krzyżem świętym pobłogosławił chłopca, którego dola za rękę wzięła i do Józefa zaprowadziła. Powiedzieć należy, iż dola Kaźmirzowa wystąpiła tu nie sama, ale w spółce niejako z panią szewcową, która, pomimo że uznawała skuteczność sposobu wynalezionej przez szewca na przełamanie uporu dziecka, nie mogła atoli oswoić się z tą myślą, że chłopak, rzucony na pastwę losu, doznać może, chociażby chwilowo, niedostatku wielkiego. Dlatego wetknęła Kaźmirzowi w rękę drugich groszy pięćdziesiąt i szepnęła mu do ucha:

— Idź ty do Józefa chyba...

Chłopcu nic innego nie pozostawało, sam jednak możeby się był nie domyślił tego i udał do ludzi obcych i kto wie, jaką poszedłby drogą. Podeszept matki stanął mu za natchnienie Duchą świętego. Z węzłem w ręku, w którym, okrom bielizny i zapasu jadła, niósł *Epoki natury* i jeszcze książkę parę, ruszył traktem bitym do miasta wielkiego X. w którym Józef czeladnikował właśnie; a dostanie się do którego wymagało czasu dni dziesięciu przynajmniej.

Pora roku, wiek w którym zwątpienie nie ma jeszcze do duszy ludzkiej przystępu, rada matczyzna, ta okoliczność że ojciec na drogę pobłogosławił i głos jakiś tajemny który go naprzód pędził, dodawały mu bodźca w dłużej, pieśniej wędrowce. Przechodził przez wsie i miasteczka, przez lasy i góry, wśród łąk zbożowych i łąk kwiecistych, nie zwracając na siebie uwagi niczyjej i nie ruinując się na wydatki podróży. Nie zdarzały się mu wypadki podobne do tych, jakie spotykały Dawida Coperfielda, przez Dickensa opisane. W kraju naszym wyzyskiwanie dzieci nie posiada jeszcze racyi bytu — kradzież ich przez Żydów do zaprawiania mac okazała się fałszem wierutnym, kradzież zaś przez Cyganów jest wyskokiem fantazyi, na któryby może pozwalali sobie potomkowe pokolenia w pomroku przeszłości zagubionego, gdyby im to korzystać wielką przynosiło i gdyby ich na zatargi z policją nie narażało. Bohater nasz przeto odbywał podróż spokojnie, a nawet, do pewnego stopnia, wygodnie. W dwóch dniach pierwszych nocował pod nie-

bem otwartém. Nie były to noclegi najgorsze, tylko nad ranem ze snu budziło go zimno przejmujące, połączone z wilgocią, z powodu rosy obfitą, która dla roślin wszelkich zbawienną była, jemu zaś drżączkę sprawiała. Dlatego w dniu trzecim przemyślał od rana do wieczora, jakby to sobie nocleg urządzić: w karczmie, czy też gdzie indziej? Do karczmy atoli czuł wstręt nieprzewyciężony. Karczma przedstawiała się mu od dawna, jako zatracenia wiecznego miejsce. Karczmy się bał instynktowie i gdy ciemnieć poczynało, we wsi jakiejś, minawszy kołowrót, zatrzymał się przed pierwszą chałupą, jaka mu się nastręczyła. Stał u wrót i wejść na podwórko nie śmiał. Nie śmiał kołatać o gościnność. Stał i przypatrywał się zdaleka, to strzesze słomianej pod którą na żerdce wisiały tykwy, tytuń w papuszkach i ziola różne, to drzwiom otwartym, przez które gospodni wchodziła i wychodziła, to psu przed progiem siedzącemu i ogonem kiwającemu, to okienkom przez które migotał płomień wesoło się palący, to wreszcie dymowi, który z kominą prosto w górę strzelał, zwiastując pogodę na jutro. Obchodziła go pogoda jutrzejsza, bardziej atoli nocleg dzisiejszy. Nie wiedział wszakże, jak się na nocleg ów wkręcić i byłby długo nad tem rozmyślał, gdyby nie ta okoliczność, że chaty tej gospodarz, wracając z kosą na ramieniu z pola do domu, zatrzymał się we wrotach, spojrzał na niego i zapytał:

— A ty czyj?..

— Szewca Odrębskiego... — odparł Kazio, prostując się przed wieśniakiem.

— Cóż tu robisz?..

— Prosiłbym o nocleg...

— Jeszcze co!... Czemuż nie nocujesz u tatuńcia?..

— Bo mnie tatuńcio w świat wyprawili i chleba szukać kazali...

— Ciebie?... No no... — rzekł wieśniak, mierzając chłopca okiem od stóp do głowy. — Niestety godzina, kiedy tacy jak ty chleba szukają... Pójdź za mną...

Poszedł przodem i ujrawszy kobietę w drzwiach, zdaleka wołać zaczął:

— Prowadzę gościa, co za chlebem wędruje!..

Kobieta ze zdziwieniem niejakiem na idącego za gospodarzem chłopca patrzyła.

— Co tobie?... — zapytał wieśniak.

— Nic... Dziwno mi tylko, że tacy za chlebem wędrują...

— Taki teraz świat... No, coż robić!... A tymczasem Bóg gościa dał, trzeba go za stołem posadzić, nakarmić i po ludzku w drogę dalszą wyprawić.

Kobięcie nie potrzeba było polecenia dwa razy powtarzać. Kazimirz znalazł w chałupie gościnność nie wymyślną, ale uprzejmą i delikatną, delikatną pod tym względem, że nie brano go wcale na indagacyę, celem dowiedzenia się z kąd on, co za jeden i do jakiej zdążył mety. Rodzina włościańska przyjęła go za swego. Zjadł wieszczkę z apetytem i spać poszedł do spichlerza, gdzie na noc całą utonął w sianie, w którym było mu miękko i ciepło. Obudził się, gdy świtało. Rodzina cała na nogach już była. Kazio chciał się pożegnać i w dalszą ruszyć drogę, lecz musiał wykonać chęć swego zwłec dla śniadania i dla palanicy co się dla niego piekła. Wypił mleka gorącego, zjadł chleba kromkę, dostał do torby placek, séra krajankę, soli grudczkę i czosnku główkę, dostał w dodatku błogosławieństwo i życzeń serdecznych tyle, ile się głów w chałupie znajdowało — i ruszył, na ciele i na duchu pokrzepiony.

Wieczorem dnia tego znów się do chłopca na noc wprosił i znów gościnności doznał przyjęcia.

Spotykało go to i w dniach następnych. We względzie przyjęcia zmieniały się formy, istota jednak pozostawała zawsze jedna i ta sama, a była nią uprzejmość tém większa, że przedmiotem jej był chłopczyna, liczący nie więcej jak lat dziesięć, jedenaście. Mężczyźni się dziwowali, kobiety się litowały.

— O mój Boże — powiadały — i ono oto samo wędruje!..

W jednym miejscu podpatrzono u niego książ-

ki w torbie. Książki wzbudziły ciekawość ogromną.

— A co tam stoi?..

Chłopak musiał opowiadać i ciekawość słuchaczy swoich bardziej jeszcze rozbudził, ale jej zadowolnić nie zdołał, nie umiejąc odpowiadać na pytania, dotyczące się wielkich zagadnień, takich na przykład, jak następujące: kiedy będzie skończenie świata? jakie męki przeznaczony są dla dusz skazanych do piekła, a jakie dla skazanych do czyśćca? jak się ubiera Pan Bóg w niedzielę, a jak w dzień powszedni? i t. p. Pytania te zastanowiły Kazia; wydał się mu ważnymi w rzeczy samej, pomyślał sobie jednak, że, ażeby je rozwiązać, potrzebuje się uczyć, dużo uczyć. W tym duchu odpowiedział pytającym.

— Przecież umiesz czytać... — zauważył wieśniak.

— Tak... — odrzekł chłopak — ale, żeby o wszystkiém wiedzieć, nie dosyć czytać umieć.

— Trzeba jeszcze umieć i pisać...

— I tego niedosyć... ach! niedosyć... — westchnął chłopczyna, wznosząc oczy na słuchaczy swoich, jakby ich o pomoc wzywał.

Nie umiał biedak wytłumaczyć tego „czegoś“, co mu piersi rozpięrało; nie wiedział, że dla wieśniaków książka była przedmiotem zaklętym, tajemniczością przenikniętą, czémś nakształt kwiatu paproci, którego uschnięcie i zachowanie daje wiedzę wszechrzeczy. Nie wiedział o tem, dla przyczyny wypadkowej, dla tej mianowicie, że mu w ręce wpadły *Epoki natury*, które podniosły koniuszek jeden zasłony, okrywającej świat nauki, i ukazały mu w perspektywie bezmiar. Gdyby nie ten wypadek, gdyby nie czytał był książek innych, jeno te początkowe, co to zagadnienia najnieprzystępniejsze rozwiązują *a priori* z pewnością, nie dopuszczającą wątpliwości najmniejszej, wtajemniczając umysł dziecinny odrazu w sprawy początku i końca, byłby i on myślał, że, umiejąc czytać i pisać, umie już wszystko, że czytanie i pisanie stanowi alfę i omegę nauki. Umysłem celnym, klasom całym społecznym, narodom nawet, których oświata nie przenika, nauka w ten a nie inny przedstawia się sposób. Ztąd powstało mistyczne znaczenie ksiąg, jak Zendawesta, Wedy, Koran, Biblia, i t. p. rozczytywanie się w których stanowi, w mniemaniu milionów, szczyt mądrości. Bohater nasz, sposobem przypadkowym, dlatego jeno że dzieckiem będąc czytał nie sam elementarz tylko, wyszedł z tego koła zaczerpniętego, jaki przesąd zakręślił. Faktu atoli wyjścia własnego nie umiał wieśniakom wytłumaczyć i kiedy ci wmawiali w niego, że, umiejąc czytać i pisać, mędrzem już jest, wzdychał i odpowiadał:

— Nie, o! nie... Nie umiem jeszcze nic...

Tę skromności dziwną powodem była hipoteza Buffona o oderwaniu się ziemi od słońca, której pogodzie nie był w stanie z pewnością, jakiego, w odniesieniu do kwestyi tej w elementarzach znajdował. Domyślał się tylko czegoś, przeczuwał niejako, że jest to sprawa, w której słowo ostatecznie wyrzeczonym nie zostało.

Szedł więc po słowo to, przeczcuciem powodowany. Gdyby kto go zapytał o cel istotny wędrowki, nie zdołałby określić go dokładnie. Cóż go ciągnęło, jak owego chłopca, Alp mieszkańca, którego Schiller przedstawił pod postacią niepowściągniętego myśliwca, odpowiadającego na wszelkie zakłęcia matczyne:

„Mutter, Mutter, lass mich gehen, jagen auf des Berges Höhen!“

Ciągnęło go przeczcucie, rzecz można, wieszczce. Dążył do celu jakiegoś, przyświecającego mu wdali, wśród tłumu ludzi, pomiędzy którymi spodziwał się znaleźć człowieka, co będzie mu tajemnicę odkrywał. Miał wprawdzie o szkołach wyobrażenie ogólne, sformułowane wedle tej szkoły, w której nauczono go litery rozpoznawać i wiązać takowe w zgłoski i wyrazy, w której nauczono go pisać, rachować i znać stanowisko własne w świecie wobec Stwórcy i wśród ludzi; ale wyobrażenie to nie było dokładne i zawsze się mu zdawało, że nieszkola, lecz pojedynczy jakiś człowiek weźmie go za rękę i ze szczebla na szczebel poprowadzi na taką wyżynę, z której jednym oka

rzutem obejrzy świat cały i wszystko co na nim jest.

I marzył chłopczyna o człowieku tym. Był to jego ideał dziecinny, przedstawiający się mu niekiedy pod postacią nadludzką. Wydawało się mu na przykład czasem że mu się nauka wyśni, to znów że znajdzie na niego jakie objawienie, przyniesione wprost z niebios przez umyślnie na ten cel wydelegowanego anioła. Nastrój ten wyrobił się w nim pod wpływem wiadomości z elementarza zaczerpniętych. Czyż Bóg nie udzielał natchnienia prorokom? Czyż Duch święty nie zstąpił na apostołów w postaci języczków ognistych? Czyżby i jego coś podobnego spotkać nie mogło? W kierunku tym wyobraźnię wyteżał i, gdy dochodził już do owego miasta wielkiego, które było wędrowki jego celem, mało brakło, ażeby mu się nie pokazał bądź anioł, bądź Duch święty. Ekscytacja, w jakiej pozostawał, byłaby może takie widzenia sprowadziła, gdyby nie *Epoki natury*, które, pokazując mu prawidłowość w naturze, trzymały imaginacyę jego na wodzy i zobojętniały w niej siłę twórczą. Byłby się zwichnął i zламаł, gdyby nie Buffon przetłumaczony na język polski i pozbawiony karty tytułowej, co sprawiło że bohater nasz nie wiedział ani jakiemu autorowi, ani któremu tłumaczowi zawdzięczać miał doniesienie w zdrowiu umysłu swego na miejsce przeznaczenia.

W dwunastym dniu wędrowki swojej ujrzał zdaleka miasto, do którego zdążył. Słońce miało się ku zachodowi. Z załomu traktu, który w tém miejscu na pagórek wbiegał i ciągnął się dalej w linii prawie prostej, drzewami wysadzaną, wzrok jego ogarnął przestrzeń ogromną, budowlami okrytą. Budowle te przedstawiały się pod postacią fantastycznie malowniczą, igrającą barwami i blaskami. Dachy mu się w oczach mieniły, okna brylantowem odbiciem mrugały, wieże, kopuły, strzały i baszty jaśniały promieniami, jakby każdy z przedmiotów tych miał na sobie aureolę, znak świętości. Na widok ten opanowała chłopca skrucha nieopisana, połączona z rodzajem obawy, uczuwaną przez tych, co się przed świętokradztwem wzdragają. Zawahał się. Nie wiedział, czy godnym jest wstępować do obwodu tego, zarysowującego się przed nim na widokrengu tak wspaniale i tak imponująco.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Od czcigodnego J. I. Kraszewskiego otrzymaliśmy pismo następujące:

„W przedostatniej korespondencji mojej do waszego Tygodnika, wspominając o zgonie nieodżałowanego hr. Fredry, powtórzyłem znaną w jednym z pism niemieckich wiadomość, dla mnie wątpliwą, o tłumaczeniu przez niego dramatu „Clavigo“ Goethego.

Z listu który z tego powodu odebrałem od przyjaciela zmarłego, hr. Wiktora Baworowskiego, dowiaduję się iż zmarły nasz poeta nigdy nie tłumaczył wspomnianego dramatu. Przekład ten, istniejący wistocie, jest dziełem brata jego Aleksandra Maksymiliana, autora drukowanych tragedj: *Wanda, Herald, Dydon*. Tłumaczenie to nie było podobno wcale ogłoszonym.

Wspomniana w Tygodniku komedia *Dylizans*, jak objaśnia w łaskawej swój korespondencji hr. Wiktor Baworowski, należy do najwcześniejszych utworów zmarłego, lecz zaginęła zupełnie. Niema jej pomiędzy pośmiertnymi; sam autor miał ją zniszczyć. Była ona przedstawianą na scenie, i artysta dramatyczny Słoński, z ról aktorów, złożył był nanowo rękopis, który czy się gdzie jeszcze znajduje, rzeczą jest bardzo wątpliwą.

Czuję się w obowiązku zarazem złożyć za te wyjaśnienia dzięki czcigodnemu ich autorowi i przesłać je redakcyi, jako materiał do przyszłego studjum o dziełach znakomitego pisarza.

Dreznò, d. 17 sierpnia 1876 r.

J. I. Kraszewski.

Przejażdżka po Kurlandyi, odbyta w r. 1873.

Skręślił Ścisław S.

I.

(Dalszy ciąg).

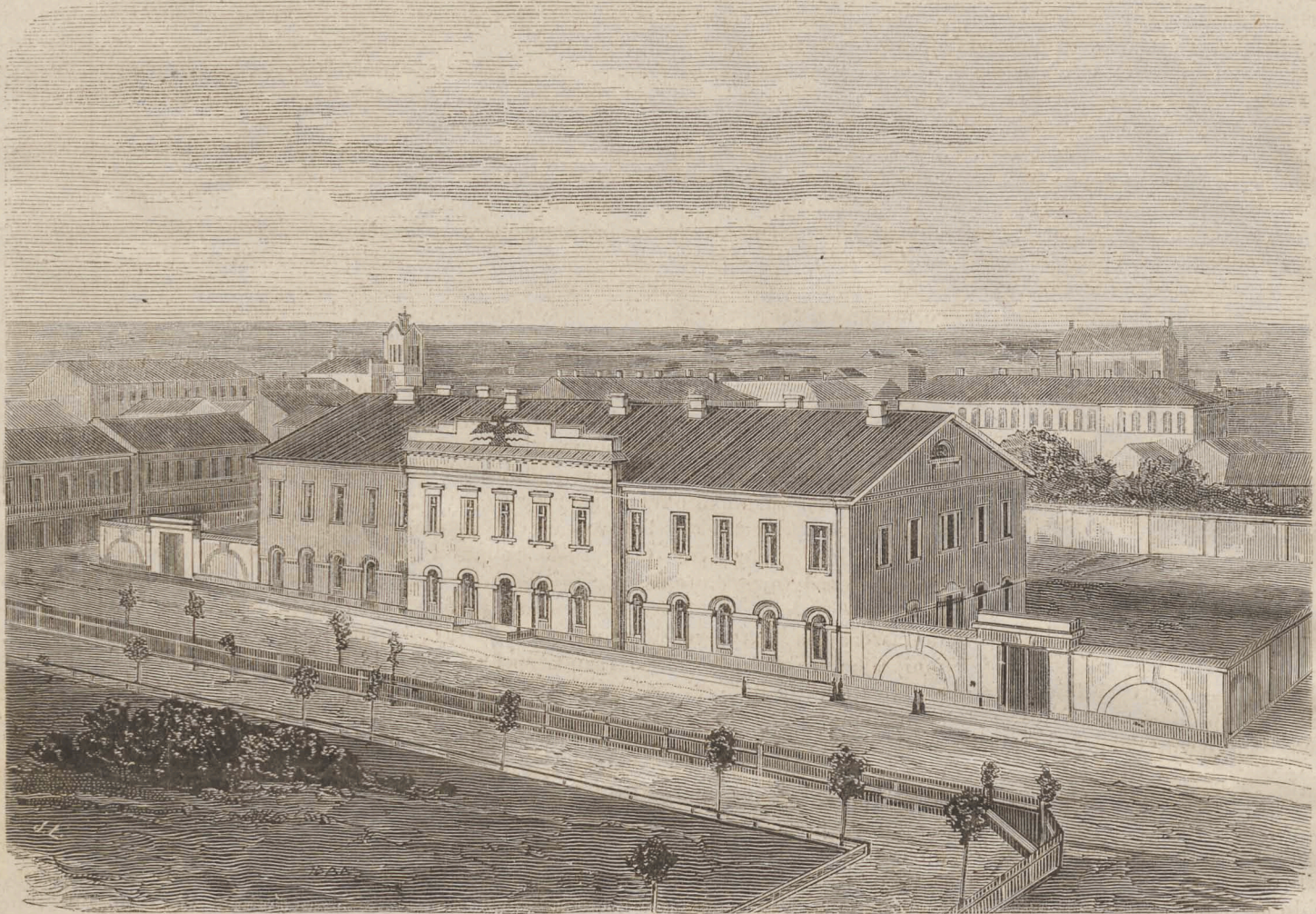
Od Dźwiny do foksalu rygskiego ma ono około wiorsty długości, szerokość zaś bez porównania mniejszą. Od wylewów Dźwiny broni miasta niezbyt dawno zbudowana, piękna i silna grobla,

po której półkolem ciągnie się droga bita. Główne ulice Dynaburga i część rynku, w drugiej połowie którego jest ogród spacerowy, mają piętrowe murowane kamienice; na bocznych ulicach liche domki. Wogóle miasto dosyć nieporządne. Obecnie jest tu powiat i gimnazyum, a co ważniejsza, tu przecinają się z sobą koleje: warszawsko-petersburska, rygska i prowadząca na Witebsk w głąb Rosyi linia, które przy pomocy Dźwiny czynią z Dynaburga ożywiony punkt handlowy, rokując miastu wielki rozwój i wzrost na przyszłość.

Początek istnienia Dynaburga datuje się od

warownego zamku, jaki kawalerowie mieczowi o dwie przeszło mile powyżej dzisiejszego miasta r. 1278 założyli; ten zburzony r. 1577 przez w. ks. Iwana Wasilewicza, odbudowany został wraz z miastem przez Stefana Batorego, w miejscu gdzie obecnie Dynaburg się znajduje. Do wzrostu jego przyczyniła się ustawa sejmowa z r. 1647, pomieszczając w nim skład na zboże i towary, mające spławiać się do Rygi.

Z zacieśnionych ulic miasta wyjeżdżam na wał ochronny Dźwiny i rzucam spojrzenie na rzekę. Piękna, choć niezbyt szeroka, czarną swą barwą wskazuje, że toń jej niepłytką. Jadę z jej bie-



Dynaburg.

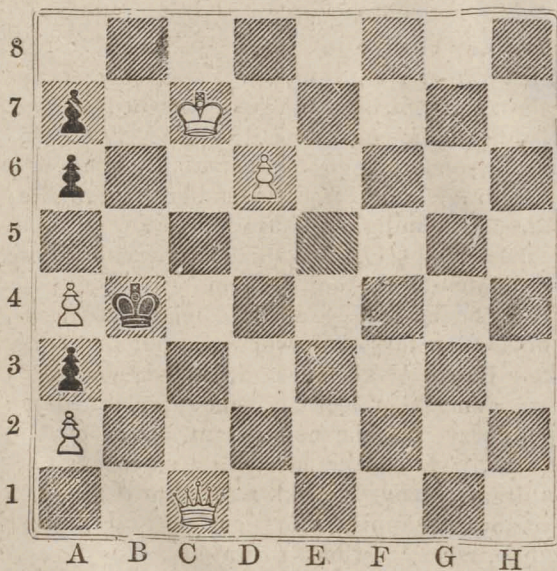
208

SZACHY.

ZADANIE XXXII.

Białe zaczynają i dają mata za 3 posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 31.

Białe.

Czarne.

- 1) H4—H2 1) A2—B4 biorą (a).
- 2) A6—C5 † 2) A4—A5 (lub A3).
- 3) H2—C7 albo D4—B5 † i mat!

- 2) H2—B8 (a) C1—E2.
- 3) A6—C5 † i mat. 2) E2—D4 biorą.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁO

WIKTORA TISSOT

pod tytułem:

Prusacy w Niemczech.

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO.

Całe dzieło obejmuje trzydzieści cztery arkusze druku.

Cena rs. 1.

U w a g a. Osoby zamieszkałe w cesarstwie i na prowincyi, jeżeli pod adresem wydawcy nadeszłą rs. jeden, będą miały całe dzieło wysłane franco.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS.

209



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 34.
Na suchoty kieszeni praca pewne lekarstwo.

giem; konie mkną dziarsko, a woda rzeki zda się mnie wyprzedzać, pokazując obcemu przybyszowi, że nie jest rzeczułką, ale rzeką, dźwigającą liczne statki wciągu lata całego i od Rygi do Bałtyku przenoszącą nawet morskie okręty. Po za rzeką, na lewym brzegu, leży, jako przedmieście Dynaburga, miasteczko Grzywka; przedemną znów ta sama twierdza, która w przeszłości nawet sławą zasłynęła, bo r. 1600 zdobył ją Karol ks. Sudermannii; ale zato r. 1626 Aleksander Gosiewski wojewoda smoleński odparł od niej, przyprawivszy znaczne straty, Gustawa Adolfa, a w biejącym wieku, już przerobiona, dzielnie wytrzymała oblężenie Francuzów z korpusu Macdonalda. Ciągłe odtąd wzmocniana, wedle wymagań postępującej nauki, stała się twierdzą pierwszorzędną, panuje nad przecinającymi się pod jej wałem kolejami i strzeże na Dźwinie mostu, na który właśnie wjeżdżam. Most wznosi się wysoko nad poziom zwyczajny wody; wspiera się na dwóch przyczółkach i dwóch filarach żelaznych, wypełnionych betonem. Podobny cokolwiek do warszawskiego, o wiele jednak wyższy, ma tę osobliwość, że wewnątrz kratowania w połowie służy kolei, w połowie wozom, a że rozminąć się na nim nie można, przeto zamknięty jest szlabanami, przez które naprzemian, za daniem trąbką sygnału, podróżnych przepuszczają. Nieraz całe godziny przed mostem trzeba wyczekiwać na swoje koleje, przez co przejeżdżający na wielkie nieraz narażani są straty. Ja byłem szczęśliwszy od innych, bo nie czekałem, a przyjechawszy na lewy brzeg Dźwiny, stanąłem na ziemi kurlandzkiej.

Mijam twierdzę i wyborną zwirowaną drogą jadę nad brzegiem Dźwiny, ciągle z biegiem rzeki. Brzeg kurlandzki kilka stóp nad poziom wody się wznosi i tworzy równinę urodzajną, zlekka na lewo wznoszącą się w pagórki lasem porośnię; zato brzeg Dźwiny prawy, witebski, panuje lewemu, wznosi się wysoko i pokryty czarnymi barwy lasu, tajemniczy, niby dzikię puszczy przedstawia widok. Ale wioska wśród boru tego, folwarki rozsiane po drodze, wreszcie żwirówka mówią, że odległe już bardzo są te czasy, w których wśród szumu drzew nieprzebranych żył pierwotny stron tych mieszkani. Dźwina, jakby zgadując me myśli, szepce mi o przeszłości ziemi, wśród której nurt toczy. Słuchając jej głosu, przypominam sobie że miejscową Kurlandii ludnością są Łotyże, podzieleni na cztery szczepy (podług Wadsona) i Finny w małej liczbie. Żyli oni pod wodzą starszych rodów, przewodniczących gminowi, dla siebie tylko bijąc zwierza dzikiego, łowiąc rybę, miód sycąc, dla siebie tylko zasiwając pole.—Aż ciekawi kupcy z Bremy r. 1158 odkrywają ujścia Dźwiny i zakładają tu swe faktorie; za nimi zjawiają się zaborcy, pod postacią apostołów chrześcijaństwa, a biskup Albrecht zakłada zakon kawalerów mieczowych, który wszakże nękany przez wojowniczy lud lewej strony Dźwiny, r. 1237 łączy się z zakonem niemieckim w Prusach i wspólnie z nim, mimo dzielnego tuziemców oporu, zburzywszy ich zamki i złamawszy opór dzielnego wodza Westharda, kraj cały podbił, zamieniając zwyciężonych na swych poddanych lub osobistych niewolników, z którego to stanu dopiero uchwała sejmu (Landtagu) z r. 1817 ich uwolniła, oddając włóścianom w dzierżawę ziemię przodków przez nich uprawianą, którą obecnie na własność kupują.

Wspominając nazwisko Westharda, niesposób mi pominąć zamku Łotyszów Terwetein, który w trzaskającej walce zagłady, jaką wiedli rycerze z tuziemcami, zasłużył na wspomnienie. Zbudowany na wysokiej górze, ręką ludu w kształcie ostrosłupa usypanej, położonej nad rzeczką Terwitte, gród ten drewniany przez długie bardzo lata był widownią najkrwawszych zapasów chrześcian z poganami. Ostatni najpomysłniej bronili się pod wodzą swego księcia Nameize, który przyjął wiarę Chrystusa, ale widząc jak walczący pod osłoną krzyża zakonnicy w najokrutniejszy sposób tępią pogan, stanął pośród swój braci i straszne w szeregach Niemców szerzył spustoszenie. Długo, długo Terwetein było niezdobytym, aż wreszcie uległo przewadze siły i sztuki zakonu,

a rycerze krótko ze zdobyczą się sprawili, bo zamek spalili i do szczytu zniszczyli, a całą załogę i ludność jego wymordowali.

Zakon, jako korporacja rycerska, stał się wtedy panem Kurlandii, Inflant i Estonii, panem ziemi i jej mieszkańców: jednak zdobyczą swą r. 1247 jeszcze musiał rozdzielić, odstępując wedle podziału legata papieżkiego Wilhelma z Modeny jedną trzecią część ziem zdobytych biskupowi kurlandzkiemu Henrykowi. Za zwyciężkiem rycerstwem szli kupcy i mieszczanie niemieccy, zaludniając dawne, lub zakładając nowe miasteczka i z postępem czasu żywił niemiecki w kraju się wzmagał. Mimo to zakon mieczowy, zbyt słaby żeby ostać się przeciw potężnej sąsiednich wielkich książąt władzy, zaczął tracić na wojennej swój sławie, a gdy od r. 1522 nauka Lutra szerzyć się w nim poczęła, znikł pierwotny jego charakter i już to wskutek rozterek wewnętrznych, już trapiiony wojnami, poddał się pod zwierzchnictwo królów polskich (z wyjątkiem Estonii, która się pod opiekę królów Szwecyi uciekła) r. 1562, a mistrz zakonu Gotthard Kettler, wzamian utraczonego dostojenstwa, uzyskał Kurlandii i Semigalię, z tytułem księstwa, jako dziedzictwo w linii męskiej, na prawach lennych od Polski zależne. Od owiej chwili Kurlandia przetrwała rządy dziewięciu książąt, aż wreszcie w 1795 przyłączone została do cesarstwa rosyjskiego.

Zatopiony tak w przeszłości ziemi, którą przebywam, zbliżam się jeszcze bardziej ku Dźwinie, zanurzam wzrok w jej sine wody, lubuję się jej falistym zwierciadłem, zaco pocziwa staruszka szemrze mi o sobie, o Łotwie, która od wieków z niej gasi pragnienie, o bitwach które widziała, o grodach obok których płynie. Nagle droga skręca się na lewo w lasy; rzucam swój towarzysze czule pożegnanie, a ona, płynąc dalej wartko, głośnie już gwarzy, a gwarzy mi coś tam jeszcze. Ale już jestem w lesie, który zrazu jest rzadki, stopniowo staje się zwartym, gęstym. Drzewa dość dorodne; mało gdzie widzę sosnę, wszystko prawie świerki, a gdy po kilku wiorstach ciągle jednakowy przedstawia mi się widok, znużony nim, odtwarzam sobie w myśli kształt i położenie geograficzne teraźniejszej gubernii kurlandzkiej. Składa się ona właściwie z trzech części: z byłego księstwa, z okręgu pilteńskiego, niegdyś własności biskupstwa kurlandzkiego, który pod osłoną Polski rządził się przez landratów, z pośród siebie obieranych, i z części Żmudzi, przyłączonej r. 1819, z pobudek czysto administracyjnych.

Figura sama Kurlandii nadzwyczaj jest nieregularną; od Wschodu wąziuchna, bo na granicy z gubernią wileńską, od której się zaczyna, ma zaledwie kilka wiorst szerokości; ku zachodowi staje się nieco szerszą i dopiero nad brzegiem morza rozciąga na północ i południe swe ramiona.

Głównymi rzekami są tu Dźwina, tworząca północną granicę gubernii, do niej zaś wpadają małe, w Kurlandii urodzone rzeczki: Iluksztanka, Egłoi i Robiesz, z których pierwsza i ostatnia dały już życie kilkunastu młynom, a drugą spotyka dopiero ten zaszczyt.

Dźwina zachodnia zasługuje najzupełniej na to, by jej kilka słów poświęcić. Bierze ona początek w górach środkowej Rosyi, w punkcie tym właśnie, z kąd wypływa z jeziora Seliger około Ostaszkowa największa z rzek europejskich, Wołga. Poniżej jeziora Seliger ku południowi leżą jeszcze dwa małe jeziora, z których drugie, najniższe położone i najmniejsze, wylania z siebie Dźwinę. Płynie ona zrazu ku południowi, pod Witebskiem zwraca ku zachodowi, a minawszy Połock, Dynaburg, Jakobsztad, Rygę, pod twierdzą Dünamünde wpada do zatoki rygskiej. Długą jest około 140 mil, w ciągu całego lata spławną dla statków i tratów prawie od Witebska. Do chwili otwarcia kolei, była ona jedyną drogą zbytu dla rolników. Brzeg prawy ma wyższy od lewego, bieg dosyć regularny, nurt umiarkowanej szybkości i wogóle głęboki. Dalej ku zachodowi spotykamy w Kurlandii rzekę Aa, nad którą leży Mitawa, stolica tej ziemi. Aa powstaje z połą-

czenia Muchy z Memlem, wypływających z Litwy, z kąd również przybywająca Windawa pod miastem tegoż nazwiska wpada do morza. Wreszcie na południe Kurlandii widzimy świętą Kurów Aa, która płynąc granicą kurlandzką pod Świątmuzją wpada do morza. Z jezior największe są w dolnej Kurlandii: libawskie, Papen, usmajtyńskie, angiarskie; w górnej małe jezioro saukeńskie, dweckie i świątmujskie, oraz wiele innych drobnych.

Powierzchnia Kurlandii jest wogóle niejednostajną, da się jednak rozdzielić na dwie części. Mniejsza, od granicy wschodniej, aż poniżej Jakobsztatu, jest górzysta, przetrnięta miejscami głębokimi parowami, posiada wiele nizin, kotlin błotnistych, a ztąd nie zbywa jej na wodach, bagnach i błotach. Ma dużo dobrze przechowanych lasów, w których przeważa świerk, w mokradłach olsza i brzoza. Grunt przeważnie urodzajny, uprawa którego wiele jednak pozostawia jeszcze do życzenia. Niższa Kurlandia i część mała górnej w stronę Mitawy, bez porównania jednostajniejszą, równą ma powierzchnię; na kniejach także jej niebrak, a grunt ma dość piaszczysty, choć lepiej uprawny niż w górnej.

Kiedy tak spokojnie odbywam geograficzną po Kurlandii wycieczkę, furman mój, dwuokciowy Łotysz, powożący mimo to parą olbrzymich koni, odwróciwszy się na koźle, rzekł, wskazując przed siebie:

— Przepraszam panicza, ot nasza Ilukszta; widać wieże kościoła, ale mogiłki zasłaniają miasto i kościół. Gdybyśmy jechali na Kaźmirzyszki, toby panicz dopiero zobaczył, jak Ilukszta ztamtąd ładnie wygląda.

— A dlaczego nie jedziemy tamtędy?

— Bo tamtędy dużo dalej, ze dwie wiorsty z drogi.

— Mój kochany, niech będzie już dalej, ale jedź tak, żeby mi się Ilukszta dobrze przedstawiła.

— No, prawda że wszystko taki dość wczesnie dojedziemy; cóż z paniczem robić, to już pojedę. Hej, koniki! krzyknął—zwracając na prawo z gościńca—prędzej, bo słońce ma się ku zachodowi.

Koniki zrozumiały i szybkim krokiem mknęły boczną już dróżką po lesie. Za chwilę wyjechałem z lasu, minąłem jakiś zaścianek i w rzeczy samej, stanąwszy na niewielkim wzgórzu, ładny przed sobą miałem obrazek. Od Ilukszty dzieliło mnie błonie i łąki przetrnięte rzeczką, na których, choć to już było pod wieczór, ruch panował wielki; dalej długim pasmem rozciągały się w prawo i w lewo szare domki miasteczka, nad któremi, jak patriarchy, panował kościół katolicki; jego białe wyniosłe mury z czerwonym dachem odznaczały się na ciemnym tle borów, przedstawiając poważną smętną podstawę obrazu, który upiększały wyniosłe wieże kościoła, wspaniałe odbijające na błękitnie nieba. Obok tej wielkiej budowy, jakby szukając jej opieki, nieśmiało, skromnie ukazuje się cieniuchna mała wieżyczka kościółka ewangelickiego, i rozrosła, kulista cerkiewka miejscowej. W dali zaś na prawo, na wyniosłym wzgórzu, otoczony klombem drzew liściastych, wychyla się z zielonego wieńca pałac schlossberski. Całość tego obrazu ozdabiała pszepysnie zachodzące za górę słońce, którego promienie nie oświecały już ziemi odzianej zbożem, ale ożywiały swym blaskiem ciemno-zielony kolor borów wokoło stojących i jasno ubarwiały liściaste drzewa parku Schlossberga, ponad którym tylko błękit niebios jaskrawo świecił. Wśród tego obrazu natury samej, majestatycznie wyglądał lśniący białością kościół, dzieło człowieka. Patrzyłem na ten obraz piękny z rozkoszą, témbardziej że na wstępie do Kurlandii takiego nie spodziewałem się zobaczyć. Niespodzianka bardzo mi była miłą.

— A co, paniczu, nasz kościół i mieścinka niczego sobie wyglądają?—odezwał się mój woźnica. A toż jeszcze kościół z séra ta i z masła postawiony.

— Co ty mówisz?—zawołałem—jako, z séra i masła kościół zbudowano?

— A tak, doprawdy, pieniądze za sér i masło wzięli ludzie do jego zbudowania. Ale jedźmy, bo

już się ciemno robi, a do domu kawał drogi — przeważał sam sobie.

Widocznie Łotysz nie miał już ochoty mówić; mimo więc rozciekawienia w jakie mię wprawił, musiałem być cierpliwym i cieszyć się błogą nadzieją, że w niedalekiej przyszłości rozwiąże ową zagadkę o mlécznej budowie kościoła.

Jak wiemy, Kurlandya podbita została przez niemieckich rycerzy, a ci, osiedlając się tutaj, założyli zamki, z których podbite plemię w swęj woli trzymali. Wybiérali ku temu miejsca nieprzystępne, ale przeważnie pięknie położone. Mieszkania rycerzy zamieniły się z biegiem czasu na siedziby rolników i w budowie lub otoczeniu każdego tutaj dworu rodowej włości znajdujesz zabytki rycerskich wieków. W opisie więc piękniejszych miejscowości co chwila trącasz o krwawe dzieje, bo tu ziemia zda się pełna połamanych czerepów, kul, mieczów i kości poległych wojowników siedmiu przynajmniej narodów, którzy za życia zacięte wiedli z sobą boje, a teraz zgodnie na łonie wspólnej spoczywają matki.

Celem mojej podróży był Schlossberg, od wieków gniazdo Zybergów, położony w malowniczej okolicy. Niedługo stał tutaj zamek obronny, na północo-zachód od dzisiejszego pałacu. W wieku XVII zdobyli go Szwedzi, a rozjątrzeni dzielnym oporem właściciela, który zginął, broniąc swego gniazda, zamek zniszczyli do szczętu. Niepodniósł się już więcéj, a teraz reszty tylko murów w ziemi i lasem zarosłe okopy świadczą o miejscu jego pobytu. Stał on na wysokiej, stromo ściętej górze, z kąd i nazwa jego Schlossberg (góra zamkowa) pochodzi, u stóp której rozciąga się jar głęboki, a w nim niewielkie, ale bardzo głębokie jezioro, zwane Dąb-jeziorem. Ze wszech stron otoczyły je urwiste, wysokie brzegi, porosłe lasem różnorodnych drzew. Wodę ma czystą, zimną, powierzchnia więc jego czarna, w ramach lasu tworzy obraz istotnie uroczy, ale tajemniczy, smętny, ponury widok, któremu się przypatrujesz z zajęciem, z ciekawością; chciałbyś zda się wyczytać tkwiące w nim zagadki, czekasz czy się nad jego powierzchnią nie ukazą ondiny, nie błyszczą jakieś rybki złote, lub wreszcie nie wysunie się potwór jaki, by porwać cię w głębie jeziora. Widok taki pociąga ku sobie i zarazem przeraża; patrzysz nań chętnie, ale w duszy przeróżne smutne snują ci się obrazy. Niedziw też że smętny Łotysz, podniecony widokiem jeziora, smutne o niém stworzył podanie. Lud tutejszy twierdzi, że zamek schlossberski stał w miejscu, gdzie obecnie jest jezioro, a gdy, wyciąwszy załogę, zdobyli go jacyś bezbożnicy i niecných znęcań nad pozostałymi dopuszczali się niewiastami, karą Boga tknięci, zapadli się wraz z zamkiem, a w miejscu jego rozlały się wody jeziora, z którego w nocy, jak utrzymują, wychodzą duchy potępieńców, nie pozwalając ludziom zbliżyć się do niego, a wdzierających się gwałtem w ich królestwo topią w głębokich wodach.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PORADNIK

DLA KUPUJĄCYCH KSIĄŻKI.

(Dokończenie.)

4. PAMIĘTNIK MARCINA MATUSZEWICZA, kasztelana brzesko-litewskiego, 1714—1765. Wydał Adolf Pawiński. Tom IV. Warszawa 1876. Cena całego dzieła (4 tomy), rs. 4 kop. 50. O trzech pierwszych tomach tego ciekawego dzieła uczyniliśmy już wzmiankę w swoim czasie; powiemy więc teraz o ostatnim, cokolwiek spóźnionym. Obejmuje on notatki Matuszewicza z dwóch tylko lat, 1763 i 1764—ostatnich z objętej jego pamiętnikami epoki. Zawierają się tu ciekawe wiadomości o dziejach bezkrólewia po Auguste III i dosadny, choć niecałkiem kompletny, obraz zabiegów Czartoryskich w celu pozyskania korony dla

Poniatowskiego. Wezycytując się w te wszystkie szczegóły, zrozumiemy, o ile prawdziwemi były przechwałki Stanisława Augusta, który w listach pani Geoffrin (niedawno w Paryżu drukiem ogłoszonych) chlubi się tém, że jego elekcya była jednomyślną, jak żadna inna przedtém. Wszehwładna potęga Czartoryskich, już w ostatnich latach panowania Augusta III, skróślona przez Matuszewicza choć drobnemi częstokroć, lecz charakterystycznymi rysami; tak na przykład nieraz notuje autor, że kanclerz Czartoryski odmawiał przyłożenia pieczęci do przywilejów królewskich, pomimo kilkakrotnych osobistych nalegań samego króla. Walka z Czartoryskimi drugiey partiy—Branickiego i Radziwiłła—słabéj i niemającej poparcia, walka krótkotrwała, choć nawet do zbrojnego przyszło starcia, opisana u Matuszewicza szczegółowo. Niektóre dokumenta do dziejów téj walki, w rękopiśmie umieszczone, wydawca opuścił, jak na przykład akt konfederacyi litewskiej (str. 214) i manifest Mokronowskiego (str. 225). Znajdują się one wprawdzie w innych dziełach źródłowych, ale niezbyt dostępnych, nie usprawiedliwia to więc opuszczenia. Matuszewicz liczył się do partiy Radziwiłła Panie Kochanku; nie przeszkadza mu to jednak opisywać bezstronnie sprawek tego magnata i jego nadużyć. Z tego opisu bardzo łatwo nawet nabrać przekonania, że Radziwiłł występował przeciwko Czartoryskim więcéj z pobudek osobistej dumy, buty i wicherzycielstwa, niż z przywiązania do kraju. Przeciwnicy księcia nie byli także lepszymi. Matuszewicz przytacza całkowicie wyrok tryumfującej konfederacyi na Radziwiłła: wyliczone tam zbrodnie i przewinienia księcia poczęści przyznaje, poczęści zbija, lub wykazuje ich przesadę, dodając zarazem że podobne i ważniejsze jeszcze wykroczenia, przez Czartoryskich i ich partyę popełniane, uchodziły zawsze bezkarnie. O samym Matuszewiczu, po przeczytaniu tego ostatniego tomu, zarówno jak i trzech pierwszych, trudno powiedzieć ażeby zdziałał coś na dobro kraju, albo żeby był stałym i bezinteresownym w swoich przekonaniach. Dostrzegłszy że Czartoryscy tryumfują, opuścił partyę przeciwną, a drżąc o siebie i błagając ciągle o zaszczyty i urzędy, jał nanowo pochlebiać „familii“ i królowi, pisać odyłacińskie na ich cześć, ciesząc się z każdego życzliwego ich słówka i uśmiechu, a smucąc się najmniejszym objawem nielaski. Istotnie też „familia“ dość lekceważyła Matuszewicza — podobno zasłużenie. Dopiero w 1765 r. wyblagał sobie nasz autor kasztelanią brzeską. Do téj daty dochodzą też prawie pamiętniki, kończące się z rokiem 1764. W końcowym przypisku boi się autor złych skutków z tego, że w dyaryuszu tym prawda zbyt szczerze opisana i dla wielu osób drażliwa; zamierza więc „poprawić“, ale że widocznie poprawa w takim guście do skutku nie doszła, wypada nam tylko cieszyć się z tego. Jako pisarz jest bowiem Matuszewicz bezstronnym i prawdomównym; nie ukrywa nic, ani ze swojej i swych krewnych, ani ze swych przyjaciół czynności. Polecamy czytelnikom tom ten, równie jak poprzednie pouczający, choć może jeszcze smutniejszy.

5. SYLWETKI, przez Kaźmirza Chłédowskiego. Lwów 1876. Cena rubel 1 kopejtek 50. Drobnie to szkice i zarysy w rodzaju „Typów i charakterów“ Kraszewskiego, tylko że nieskończenie krótsze, bardzo nawet króciutkie: 31 mieści się ich w jednym tomie. Wiadomo że zarówno powieść, jak i podobny charakterystyczny obraz tém są trudniejsze do wykonania, im krótsze. Można wprawdzie w niewielu rysach naszkicować bardzo podobny i trafny wizerunek, ale potrzeba do tego miotrzeja, któryby odrazu objął w umyśle cechy najgłówniejsze i najbardziej charakterystyczne i takowe umiał należycie ugrupować, umiejętnie używając barw wydatnych, lecz naturalnych, a także zręcznie korzystając ze światła i cieniu. Autor niniejszej książki skromnie zatytułował swe obrazki „Sylwetkami“, to jest ogólnemi tylko zarysami, przytém sam ten tytuł i warunki podobnego rodzaju utworów wyłączają idealizowanie zarówno jak karykaturę, przywiązując autora do świata i życia rzeczywistego, możliwego. Pan Chłédowski

w znacznej mierze pojął to swoje zadanie, jak je powyżej scharakteryzowano, i w części wywiązał się z niego dobrze. Jako najudatniejsze, wymieniamy tu następujące sylwetki: Pan senator, Wędrujący literat, Pani Malwina, Emigrantka, Pan sekretarz; za takich poczytalibyśmy i wszystkie prawie „siedem grzechów towarzyskich“ zwłaszcza drugi z tych szkiców p. n. „Błaga.“ W ogólnym nastroju opowiadania wszędzie przebija humor życiowy lub ironia; oczywiście żywił satyryczny, mniéj albowięć jawny lub ukryty, nie mógł także pozostać obcym podobnym „Sylwetkom.“ Słabsze z nich albo nużą użytym pomysłem, jak Błazędź, Pan Komornik, Epikurejczyk, albo wpadają w przesadę, jak Pani Helena i Sportsman.

6. KSIĘŻNICZKA z GMINU, powieść z prawdziwych zdarzeń, przez Sędzimira. Lwów 1876. Cena rubel 1 kopejtek 20. Opowiadanie to, osnute na tle przygód „księżniczki“, pięknej panny bufetowej, w których główną rolę odgrywa kochliwość hrabiego Henryka i zamiana narzeczonych. Pomyśły niezbyt świeże, a i inne jeszcze dodatki, jak wykradzenia, zabójstwo i trucie się bohaterki przy końcu, niebardzo zalecają się oryginalnością ani interesem. Jednakże niepodobna odmówić autorowi daru opowiadania i zręcznej charakterystyki: tak grono arystokratycznej młodzieży, sam hrabia Henryk, a szczególniej księżę Alfred z rodziną odmalowani umiejętnie. Sympatyczne są postacie młodego Henryka i młodej księżniczki Adeliny. Zato postać samej bohaterki wydaje się chybioną: jest to mieszanina rysów szlachetniejszych z raptusowemi wybrykami i karykaturalnemi konturami. Bohatérka przy końcu truje się, ażeby nie zawadzać przybranemu synowi: takiego poświęcenia uznać nie możemy. Wogóle powieść nie jest może z najlepszych, a z pewnością nie odznacza się niczém oryginalném; wszelako, dla powyższych zalet, poświęcamy jęj tę krótką wzmiankę. Autor, widocznie początkujący, ma sporo talentu i należy się mu słowko zachęty, co zaś do książki, mogą ją bez szkodzenia przeczytać ci, którzy niemało daleko gorszych powieści czytają.

Książki powyższe są do nabycia w księgarni **Ungra i Banarskiego** w Warszawie (Krakowskie przedmieście nr 443). Wypisujący jednorazowo dzieł za rs. 5 kosztów przesyłki nie ponoszą; przy mniejszych zamówieniach zechcą dołączyć kop. 10 do każdego rubla, na koszt przesyłki. Wylączają się od bezpłatnej przesyłki książki w cenie niższej szkolne, na prenumeratę wychodzące i kalendarze.

Z PRZESZŁOŚCI.

URYWEK

przez Adele Hanicką.

Nad strumienie i stawy rozkwitły, jak wieniec, Szumiał gaj niebotyczny, olbrzymi i dumny, Strojny w koral jarzębin, w kaliny rumieniec; Tła błękitu sięgały topoli kolumny, Różowemi kitami kasztany błyszczwały, Dalej świerki i brzozy wznosiły się wiankiem; Pośród nich, jak świątynia z bogatym krużgan- [kiem, Dwór wśród kłębów kwitnących wychylał się biały.

Tyle kwiatów tu kwitło, słowików śpiewało, Złoty był owoców, barwistych motyli, Tyle gajów i zdrojów szumiało i grało, Izbyś myślał że z niebios w tę ustron zastąpili Aniołowie harmonii, piękności i woni, Że złotemi skrzydłami, z klejnotów tkanemi, Zawiesili tu przestzeń od nieba do ziemi... Przeto cała ta ustron rozkwita i dzwoni.

W dworze z cichą prostotą, z gołębią miłością Żyło dwoje staruszków.

On lat miał z okładem Osiemdziesiąt. Miał włosy srebbrzone starością, Biały wąs na obliczu surowém i śniadem. Ona była pobożna, schyłona latami, Promienista przez wiarę, jak święte matrony,

Cała jasna miłością wśród dziełek korony,
Wykarmionych modlitwą, pieśczętą i łzami.

Serca mieli tak zacne! Więc szedł tu w gościnę,
Komu w życiu zabrakło rodziny lub chleba,
Kogo zgniotła niedola, samotność, potrzeba,
Pod ich dachem się schronił i... znalazł rodzinę.
Bliźni byli im braćmi — nie, raczej synami,
A gdy który upada, rozpacza i tonie,
Podawali z pomocą pocziwe swe dłonie
I niejedną wdzięczności omywał je łzami.

Znali owych staruszków dalecy i blizcy;
Cały zastęp sąsiadów za stołem siadywał,
Stary bąjał im przeszłość. Kochali go wszyscy,
Generałem go zowiąc, choć w wojsku nie bywał,
Bowiem wpływ swą powagą na młodzież wywie-
[rał,
Był najstarszy w powiecie, na łowach naczelny,
Piérwszy w radzie, wytrwały, ochoczy i dzielny.
Przeto czciła go szlachta i zwan był generał.

W prawo były komnaty, gdzie w uścisk braterski
Pan generał przyjmował krewniaków i gości;
Strój tych komnat był prosty, łowiecko-rycerski,
Łoże skórą zasłane i pomnik przeszłości,
Kilka starych portretów. Nad łożem w półkoło
Dobre strzelby dwururki, łowieckie rynsztunki,
Rogi, sakwy, krucice, i proch, i ładunki.
Rzędem łulki prastare, stos książek na stole,
Okulary na książkach. — A byłoż tam leków,
Ziół od róży, zółtaczki, od febrы napadów.
Wreszcie w biurku okutém pleśniały od wieków
Stare rodu papiéry — puścizna pradziadów.

Tam pod wieczór jesienią zbierali się gwarnie
Wscyscy bracia myśliwi. Generał ich witał,
Na podwórzec znoszono broń, konie i psiarnię,
A nazajutrz, gdy dzionek nad lasem zaświtał,
Wszyscy byli na nogach.

Na szczytach dębiny
Promień słońca różowe zapalał korony.
Wgórze płonił się błękit wpółzłoty, wpółsiny,
A na trawie, gdzie nocne perliły się szrony,
Pośród wozów i koni, wśród starców i młodzi,
Karmazynów wąsatych stał siwy generał.
Wzrok rozjaśniał jak słońce, gdy w ciszy zacho-
Krzepkie dłonie na stariej rusznicy opierał, [dzi,
Gładził wąs i rozkazy wydawał donośnie.
Małowniczo przybrani w lisiury i burki
Oglądali myśliwi łożyska i kurki,
Psy przy rogów odgłosie skomliły radośnie,
I w tej ciszy porannej po kniejach, czaharach
Z przezroczystej powietrzni powodzią świetlaną
Brzmiało echo muzyką kochaną i znaną
Tego życia przeszłości, co dziś już na marach.
Dziwna zjęła cię rzewność i snem ci się zdawał
Ten generał myśliwych, obozem wśród lasów,
Postać piękna, jak pomnik z odległych już cza-
[sów...
Odtąd będzie on wiecznie w pamięci twój stawał.

Psy generał miał dobre, a gdy się ozwały,
Każdy gonił po tropach, puściwszy się gajem.
Nigdzie psy nie tropiły, ni dźwięcznie tak grały,
Jako Stentor, i Śpiewak, i Lutnia z Zagrajem —
Stary chlubił się niemi.

Aż wreszcie z zaciszy
Ruszał orszak, w zieleni gdzieś tonął za borem;
Gwar dolatał to silniej, to słabiej i ciszej,
Wkońcu ustał. Mileczenie powiało nad dworem...
Tylko słońce, jak młoda, czarowna dziewica,
Weszło w kąpiel błękitu, promienne swe włosy
Rozsypując po kroplach iskrzącej się rosy
I w topieli przezroczej omyło swe lica;
Tylko ciepły i wonny na skrzydłach promiennych
Zleciał wietrzyk swywojny wśród miłej pieśczo-
[ty;
Z purpurowych i złotych listeczków jesiennych
Sypiąc rosę, garściami postrzącał klejnoty.

Wpółdrzemający las ciemny w mgle tonął sina-
[wój,
Rozbudzone ptaszęta dzwoniły w sto głosów,
Szybki zając i sarna, nie znając swych losów,
Dzień witały z posłania ziół leśnych i trawy,

A gdy łowcy psy gonące wpuścili do kniei,
Stanowiska myśliwym wyznaczył generał,
Piérwszy promień słoneczny w gęstwinę się wdzie-
Miły sercu człowieka, jak światło nadziei. [rał,
Wśród zieleni, ze wzrokiem błyszczącym i bronią,
Zasłuchani w dąbrowy muzyczne szemranie,
Milecząc, łowcy badali którędy psy gonia,
Coraz bliżej i bliżej słyszeli ich granie,
Wnet i szelest — to sarna wysmukła i hyża
Błyskawicą pomyka z za liści obłoku,
Jak dorodna dziewczoja do łowców się zbliża,
Sadzi lekko i ziemi nie trąci w poskoku.
Błysnął strzał i dąbrowa odgrzmiała stugłownie,
Dym błękitny opada... Zachwiała się łania,
Trawę broczy posoką i z jękiem konania
Pada — wzrok na zabójcę podnosząc żałośnie.
Róg się ozwał. Myśliwi przybiegli, pytając,
A generał z młodzieńczym zapałem się chwalił,
Jak to celnie wypalił, jak sarnę powalił.
Wszakże sarna, mospanie, nie lis i nie zając!
Wtedy Stefan, co lat już trzydzieści z okładem
Generalskim był sługą, wziął fłaszę, otworzył
I na pnju pod drzewami śniadanie rozłożył,
Bo aż w wieczór we dworze czekano z obiadem.

. Nad ustron tymezasem
Noc rzęsiście gwiazdami iskrząca zapadła.
Sen i cisza głęboka po lasach osiadła,
Tylko psy tam od wioski ozwały się czasem.

.
Zgodnie, jako kaliny i świerki w ogrójeu,
Wzrosły dzieci pod skrzydłem Chrystusa nauki
W generała komnatach. Od córki miał wnuki,
A synowie pod wąsem równali się ojcu.
Miał też córkę najmłodszą, Marylkę imieniem,
Wpółrozwitą i świeżą, jak w gaju różyczka;
Przy niej starsza cioteczna bawiła siostrzyczka,
Wzrostem smukła, jak jodła nad skalnym stru-
[mieniem.

Obie młodość stroiła w uroczą prostotę;
Rzewne były i skromne, jak leśne fijołki,
I kochały się wzajem, jak Boże aniołki,
Snując przedzą pajęczą dziewicze sny złote.

Zwykle bywał przy pannach dostatek młodzieży,
Lecz Marylka zaledwie spojrziała w ich stronę,
Bo wołała bławatki i gaik swój świeży,
W szklanęj toni swe rybki pąsowe, złocone,
Ogród, kłaby kwiatowe.

O! byłoż tam kwiatów!
Jedne wielkie jak gwiazdy z koralu lub śniegu,
Jak kielichy z purpury złocone po brzegu,
Lub jak czarki ze złota, z karminu, bławatów.
Więc gdy ranek słoneczny się stroił perlami,
Ogród cały był jakby zasiany gwiazdami...
Każdy kwiat małe słońce miał w głębi kielicha,
Ziemia głosem miłości modliła się zeicha.

I Marylka się z siostrą modliła w te ranki,
Potém biegła nad strumień i z rosy porannej
W wodę kwiatów barwistych rzucała wiązanki,
By po kwiatkach wodospad utworzył się szklany.
Biegła zbierać kamyki lub muszle nadbrzeżne;
Czasem motyl, w aksamit i złoto przybrany,
Wpadł niebacznie w jej dłonie różowe i śnieżne.
Dzień za dniem tak upływał, jak z tęczy utkany.

Ponad stawem, u drogi pocztowej na górze,
Stała stara, już mchami porośla cerkiewka;
Smaragdowe do stóp jej kłoniły się drzewka,
Krzyż połyskał na szczycie, jak gwiazda w lazu-
Uroczysty blask jakiś tę górę owiwał, [rze;
A u wrót, gdzie kapliczka, pod drzewem rozro-
[slém,

Ciemny żebrak pacierze odmawiał i śpiewał,
Stary, z brodą jak srebro i czołem wyniosłym.

Kiedy w ognie płomienne, świetlane, tęczowe
Zachód barwił błękitne przezrocza, a chmury
Stroił w szkarłat, fiolet i rąbki różowe,
Niby ptaki jasnemi mieniące się pióry;
Gdy po wonnych pokosach ciągnęły jak wstęgi
Cienie topól olbrzymich, szumiących nad dworem;
Gdy po cichym kryształach wód, ciepłym wieczorem,
Biegły szklane pierścienie, obrączki i kręgi,
Kwiaty chłodnej, wieczornej pragnęły już rosy,

A wieśniacy do zagród wracali ze śpiewem —
Przeplatała Marylka różami swe włosy,
Potém biegła, gdzie stara kaplica pod drzewem,
Gdzie modlitwa żebracza wysoko do nieba
Z osokorów stuletnich szelestem odpływa,
Niosła z sobą dla starca owoców lub chleba
I przyklekła w kaplicy, jak dziecko szczęśliwa
Z darów swoich prostoty, z błękitu niebiosów,
Z jasnych stawu zwierciadeł i gwiazd i promieni,
Z strojnych w szafir bławatu kłoniących się kło-
[sów,

Darów Boga. I duch jej, w świetlanej przestrze-
[ni
Tonąc, skrzydły białemi do Stwórcy się wznosił,
Ukołysan dźwięcznymi wszechżycia psalmami.
Starzec także się modlił i znać o coś prosił,
Bo mu ciemne źrenice zwilżyły się łzami.

Z sianozęci nadeszła wieśniaków gromada
I stanęła — powitać panienkę swą rada,
Każdy patrzył w jej lice z radością tak rzewną,
Jakby w sercu zachował jej miejsce dziecięce,
I cisnęli się wszyscy całować jej ręce,
Zwąc swą młodą topolką, swą małą królewną.
Byłoż widzieć ten obraz w słonecznej jasności,
Ogorzałe te lica i białe to dziecię!
Wszystko znajdziesz, lecz nigdzie nie spotkasz na
Tyle rzewnej prostoty i tyle miłości. [świecie

Czasem znów, gdy generał miał wieczór swobo-
Do pasieki zaprosił panienki i panów, [dny,
Do pasieki dalekiej w krągłaku wśród łąnow,
Pełnej woni rzeźwiącej, lasowej i miodnej.
Był tam kureń pod drzewem, krynica wciąż chło-
Rzędy ulów, ognisko przygasłe w popiele, [dna,
Grała pszczołek modlitwa brzęcząca, łagodna,
W szmaragdowym, pozłotnym gałęzi kościele.
Więc generał z Marylką wypocząć tam siadał,
Pasiecznika przyzywał i pytał o roje.
Zdawał sprawę pasiecznik i wnet się rozgadał,
Jakby otwarł zaklętych pałaców podwoje.
Opowiadał jak płacze carówna zaklęta,
Jak harcują upiory i czarty-psotniki,
Jak uwodzą rusalki, złośliwe dziewczęta,
Jak się świecą paprocie i błędne ogniki.
Fantastyczne te bajki — jak odbłask na fali,
Wyobraźnia stroiła w sukienki barwione,
To błyskotnie jaskrawe, to ciemne, zamglone.
Uśmiechali się wszyscy, a jednak słuchali,
I słuchali tak długo, aż skrzydłem lazuru,
Osypałem w brylanty niebiosów promienne,
Noc zleciała i gwary stłumiły sięienne,
I już tylko słowiczek pozostał z ich chóru.
Powracali... Wyprzedzał ich nieco generał,
Pieśń wieczorną śpiewając, a starca głos drżący
Wzruszał serce Marylki, pobożnie patrząc,
Jak się kryształ błękitu gwiazdami ubierał.
Ach! jej było tak dotąd swobodnie, słonecznie!
Lecz niezawsze trwa święty aniołów całunek,
I swoboda, najmiłsza z dzieciństwa piastunek,
Wraca w niebo, nie mogąc piastować nas wiecznie.
Myśl się budzi, rozwija, choć jeszcze się ślania,
Leci w przestrzeń i serce uderza — niestety,
Trwoga przyszłej tęsknoty, cierpieniem kochania.
Serce dziecka, po chwili jest sercem kobiety.

Dwór w ustroni świętecznie na gody przybrano,
Bo Marylkę w zamęcie oddaje generał,
Różę swoich ogrodów, pieśczętą, kochaną,
Którą urok młodości tak cudnie ubierał.

Już kupiono jedwabie, kobierce wzorzyste,
Już uszyto bieliznę, czépeczki i rąbki,
Wszystko strojne w koronki, wstążeczki i ząbki,
Takie piękne, bogate, puszyste, srebryzste!
Zanim stanie Marylka u stopni ołtarza,
Wszystko, na co się serce ojcowskie zdobywa,
Czém dostatek i tkliwa troskliwość obdarza
Zgromadzono.

„Daj Boże, by była szczęśliwa,“
Stary Stefan serdecznie radując się prosił.
Dziecię pana mu było przed Bogiem jak własne
I niedawno minęły dziecinne dni jasne,
Gdy jej strugał zabawki i ptaszki przynosił.
On nie wątpił że Bóg go wysłucha ochotnie
I dla jego panienki niebiosy przychyli.

Nie tak myślał generał, gdy siedział samotnie
W zamysleniu, wzdychając od chwili do chwili.

Musiał oddać daleko, pod obcą gdzieś strzeżę,
Więdnącego już serca ostatnią pociechę.
Wąs pokręcał, dumając, i tłumiał westchnienie...
Kto tam wie, co w przyszłości ukrywa się dla niej?
Wszak niejedną lilią złamało cierpienie;
Samolubstwo i zawiść dosięga i rani
Każdą pierś, co wystąpi do walki żywota.
Tu wśród róż i pieszczoty, wśród gwiazd i blawatów,
Nawet ptaszek na łące nie dotknął jej kwiatów;
Kołysała ją cisza przejrzysta i złota,
Nawet pył jej nie dotknął ze skrzydeł motyla!
Tam?... Co znaczą dostatki, gdy sercu ubogo?
Szczęście błędnie jak tęcza i przyjdzie ta chwila,
Że samotna, przy sercu nie znajdzie nikogo!

A przed świętym obrazem, w skruszonej pokorze,
We łzach matka klęczała. Gdy ojciec się troska,
Czemże miłość jej święta pocieszyć się może?
Miłość matki, ta gwiazda tak jasna i Boska,
Co promieni się łzami nad dziecka kołyską,
Co, choć ziemską, a przecież tak Boga jest blizką.

Nadszedł wreszcie, witany radością i smutkiem,
Dzień weselny, co w życia wprowadzi ją szranki.
Bądźcie zdrowe, błękitne, złocone poranki!
Bądźcie zdrowe, dziecinne pieszczoty z ogródkiem!
I wy także słowiki, z złotemi pieśniami,
Kwiaty, któreście tyle mówiły miłozniem,
Lasy, coście ją ziół swych rzeźwiły technieniami,
I poufne rozmowy ze skalnym strumieniem,
Bądźcie zdrowe!...

Już czas jej do pracy i walki;
Wyście święte w jej łonie płomienie karmiły
I czuwały, by Bogu ku chwale świeciły,
Jak czuwały u rzymskich ołtarzów westalki.

Dali białą zasłonę, jak mgła ponad wodą,
Białą wieniec—dziewictwa koronę wspaniałą,
Lekką suknię, jak szaty aniołów tak białą,
Dali mirtu gałązkę. Ubrali i wiodą
Gdzie generał, wśród starych przyjaciół swych gro-

na,
Stał poważny, szlachetny, w sędziwej starości.
Więc spojrziała na ojca ze łzami rzewności
I u stóp jego drogich ukłękła schylona.
Starzec podniósł ku niebu zwilżone źrenice,
Potem zwrócił je na nią. Łza bujna w nich bły-

sla,
Cicho zbiegła po twarzy, na wąsach zawisła;
Wreszcie ponad jej głową wyciągnął prawicę:

„Błogosławię cię, dziecko!“ — powiedział z we-

[stehnieniem —

„W imię Ojca i Syna - wybawcy i Ducha!

„Bóg praojców Wszechmocny niech słów mych

[wysłucha

„I zachowa cię wiecznie pod skrzydeł swych cie-

[niem!

„Zbierz-że siły, bo człowiek, to rolnik jest Boży,

„Musí wytrwać przy pracy wśród deszczu lub słoń-

„Budowniczy jest Pana, co pracę swą łoży [ca;

„Do budowy przyszłości pokoleń bez końca.

„Zatem w życie nie można wejść jako do tańca,

„Lecz z miłością głęboką co prawdzie nie kłamie,

„W niestrudzonej prawicy Chrystusa nieść zna-

[mie,

„Śmierć powitać na starość, jakoby zesłańca,

„Co obwieszcza spoczynek po trudach i znoju;

„Czuć w sumieniu że chętnie spełniana jest praca,

„A choć świat się nam często zbyt gorzko odpla-

[ca,

„Tracąc wszystko—nie stracić sumienia spokoju.

„Skromna, cicha u świętych domowych ołtarzy

„Praca niewiast; lecz ona piastunką wielkości,

„Bohatérów mistrzynią, ogniskiem miłości,

„Wiarą Bożych wyznawców, natchnieniem harfia-

[rzy!

„Ona mężów wytechnieniem i świętyń ozdoba,

„Ona całe narody prowadzi do Boga!

„Dziecię moje! ku światłu cię wiedzie twa droga,

„Idź nią dalej i wytrwaj, a Bóg będzie z tobą.“

Wśród błyszczących kryształów i drogich kamieni

Ołtarz pełen był światła. Marya u góry,

Dwóch aniołów po stronach o skrzydłach z pro-
Blask jarzący ozłacał śnieżyste marmury [mieni,
I jak tęcza świetlana opłynął dwie głowy
Oblubieńców, co klęcząc przed starcem-kapłanem,
Ślub miłości na wieczność czynili przed Panem.
Z róż okowy, to także i z koleców okowy,
Lecz niech serca ich złączy téj chwili wspomnie-
I gdy żywot człowieka tak w miłość ubogi [nie,
Przybądź, Duchu mądrości, i oświeć ich drogi!
Hymnem „Veni Creator“ zabrzmiało sklepienie...

W chmurny wieczór jesienny nadjechał posłaniec
Przywiózł pismo Marylce: że ojciec się smuci,
Jakby oddał swe dziecię za świata gdzieś kraniec,
Że spłoszona wesołość nierychło doń wróci,
Że oboje ją z matką oglądać stęsknieni.

Niech więc w progi rodzinne z przybyciem po-
[spiesz,

Młodem życia weselem rozjaśni, pociesz

Smutną starość, smutniejszą samotność jesieni.

I Marylka już w w drodze... Był wieczór szara-

[wy,

Gdy ujrzała swą wioskę, swe lasy; gdy w chmu-

[rze

Zarysował się krzyż z cerkiewką na górze,

Błysły w dole strumienie, ogrody i stawy.

Zapadł mrok... Ot i dworzec, topole i świerki,

Drogi gniazdo rodzinne szarzeję wśród cieni,

Mnogie światła z za gaju migocą iskierki,

Blask od okien, jak potok złocistych strumieni,

Morze nocy bezbrzeżnie zdaleka opływa

Łuną światła szeroką, jak wschód o świtanie;

Rzekłbyś w starych rodziców samotnym mieszka-

Świeci zorza północna, lub słońce spoczywa. [niu

Weszła w ganek Marylka. Otwartych drzwi dwo-

Pusto... [je,

Śpią już, czy może wynieśli się z domu?

Psy przybiegły ją witać. Wstąpiła w podwoje

I upadła, jak brzoza zwalona od gromu.....

Pierwsza domu komnata otwarta. W półkole

Stoją kwiaty w wazonach, świeczniki rzędami,

Niby gwiazdy rzęście przewite kwiatami;

W środku senny, z niebieskim pokojem na czole,

Leży blady generał.

Na piersi szerokiej

Złożył dłonie, krucyfik połykał mu w rękę,

A na twarzy miał spokój radosny, głęboki.

Dom owiało cierpienie bez skargi, bez jęku.

Piękny dworzec ustronny, gdzie róże dziś twoje?

Ciemne świerki, topole, kwitnące kasztany?

Gdzie śnieżyste kolumny i białe twe ściany,

Łśniące stawy, trawniki, ogrody i zdroje?

Twój gospodarz, twa jejmość?

I gdzie się podziały

Twoich komnat rycerskich łowieckie rynsztunki,

Lasy twoje i rogi, co dzwicznie tak grały,

I gościnność, i szczerłość, braterstwa piastunki?

Twoje stawy dziś czarne kałuże bagniste,

W kniejach dawnych, gdzie strzelcy bawili się cel-

Sterczą pnie i dymiące kominy gorzelni... [ni,

Wszystko znikło!

Twe lasy zrąbano cieniste,

Chmiel i powój zwaliska dokoła oplata

I ostatni już słowik z twych ruin odlata!

Wszędzie cyfry... Zagasły narodów świeczniki,

Ludzkość perłę za perłą z korony swój traci,

Gasną w cieniu ostatnie z szlachetnych postaci,

Starych cnót i zwyczajów ostatnie pomniki!

Duch człowieka, umęczon pod zmysłów brzemie-

[niem,

Jako Chrystus pod krzyżem, po trzykroć upada;

Uwiedzeni występni i zgubni złudzeniem,

Krzyżujecie w nim Boga. O biada wam, biada!

Bóg nie patrzy na błędy, chleb świata powszedni,

Czeka, rychło-li pierzchnie bluźnierców odwaga,

Rychło dziecię zbłąkane proch ojców przebląga...

Dumni, w Jego obliczu my nędzni i biedni.

Trzeba bóstwem się zrodzić, by w imię nowości

Starych bogów domowych cheić burzyć ołtarze.

Stójcie! oto anielskie pilnują ich strażę:
Grób jest w dziejów dramacie kolébką przyszło-
[sci!

ROZMAITOŚCI.

Widoki Warszawy, rytowane w XVI, XVII i XVIII wieku.

Do nieposlednich źródeł, użytecznych do histo-
ryi i topografii masta, należą dawne jego widoki.
Wprawdzie nie wszystkie są one dokładne i wier-
ne, niektóre bowiem okazują się powtórzeniem
dawniejszych, inne znowu w potrzebie dowolnie
były robione. Biegły atoli w starożytnościach ba-
dacz rzeczywistą ich wartość potrafi ocenić i ze
wskazówek prawdziwych skorzystać nie omieszka.
Zabytków rytowniczych tego rodzaju dość znac-
na jest liczba. Podajemy tu spis cenniejszych, ja-
kie są znane.

Najdawniejszy podobno widok Warszawy z XVI
wieku znajduje się w sześciotomowym dziele in
folio p. t. *Theatrum urbium praecipuarum mundi*,
wydanem od r. 1593 do 1613 przez Jerzego Bruin,
czyli Braun, w którym są ryciny widoków
znaczniejszych miast w Europie, a pomiędzy temi
18 polskich. Umieszczona tamże Warszawa w for-
macie arkuszowym, ma u góry w pośrodku herb
syrenę, a po obu stronach herby państwa, jeden
z cyfrą Zygmunta Augusta, drugi z wilczymi zę-
bami, czyli herbem Stefana Batorego. Widok ten
przedstawia miasto w rozległości od Krakowskie-
go przedmieścia do kościoła św. Krzyża, na polach
za Nowem miastem niegdyś istniejącego. Na Wi-
śle stoi jeszcze most drewniany stały wprost ulicy
Mostowej; u dołu sześć figur, wojskowy i szlach-
cie, oraz cztery kobiety, z podpisem *Miles polonus*,
Nobiles Poloniae. Na odwrotnej stronie jest tekst
łaciński, opisujący miasto.

Następny widok Warszawy, z tegoż wieku po-
chodzący, jest na drzeworycie, w formie po-
długym, umieszczonym przy konstytucyi wyda-
nej w Krakowie u Mikołaja Szarfenberga 1589.
Aczkolwiek małej objętości, wierny on i do-
kładny.

W chronologicznym porządku idą dalej nastę-
pne widoki, wydane w XVII wieku:

Miedzioryt z napisem *Varsovia*, u góry herby
Mazowska, miasta i państwa, tudzież rok 1637.
Mała, rzadka rycina.

4. Miedzioryt p. n. *Urbs Varsovia, sedes ordi-
naria regum Poloniae. Anno 1656. Perelle sculps.*
E. J. Dahlberg ad vivum delin. Znajduje się w dzie-
le Puffendorfa *De rebus a Carolo Gustavo gestis*, wy-
danem w Norymberdze 1696 r.

5. Cellarius w dziele swoim opisującym Pol-
skę, drukowanem w Amsterdamie 1659 r., umie-
ścił widok Warszawy w małym formacie, z her-
bami Mazowska i miasta.

6. Miedzioryt z napisem: *Varsavia nach der
Natur gezeichnet von C. T. Erndl. Ingen. Cap. M.*
Bodener sc. Dresd. Na dole kilka figur, w strojach
krajowych.

7. Miedzioryt na dwóch arkuszach mniejszych,
podługnie sklejonych, z napisem *Varsavia*; wgó-
rze po lewej stronie herb państwa, u dołu grupy
osób pieszych i konnych. Na Wiśle most i kilka-
naście statków mniejszych i większych. Pod ram-
ką objaśnienia liczb od 1 do 26, najprzód po łaci-
nie, potem w tym samym porządku po niemiec-
ku. U dołu podpis: *T. B. Werner del. Frs. Fri-
drich Probst, Haeres Jer. Wolffg. exc. A. V.*

8. Miedzioryt z tytułem: *Varsovia. Warschau.*
U góry po lewej stronie herb państwa; u dołu kil-
kanaście figur w strojach krajowych. Na rzecce
most i statki. Pod ramką objaśnienia łacińskie
i niemieckie, tudzież podpis: *Joh. Christoph. Haff-
ner. Seel. Erb. Excud. Aug. 8.*

(Dokończenie nastąpi).

Na nędzę wyjątkową otrzymaliśmy od J. D.
kop. 40.

Na budowę kościoła w Ciecchocinku od Maryi S.
z Kielc rs. 2.

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

A. Szkoły florencka, padewska, wenecka i umbryjska.

(Dalszy ciąg).

Łukasz Signorelli, o ile w malowidłach kaplicy Sykstyńskiej stoi na równi ze swoimi towarzyszami, o tyle w katedrze Orvieto wznosi się ponad nich wysoko pewnością rysunku ciała nagiego, śmiałością i wdziękiem w przedstawianiu ruchów padających i wznoszących się postaci. Aniołowie dmą tam w trąby sądu ostatecznego i zmarli powstają z grobów; radość z przebudzenia, wdzięczność względem Boga, rozkosz ponownego zobaczenia się jest tu bądź w grupach, bądź w pojedynczych postaciach wybornie oddana; u tych zaś którzy dopiero się z grobu podnoszą, czuć w rysach i postawie całą ociążałość snu długowiecznego. Tam wyschły skielec oczekuje na okryć go mające ciało, dając malarzowi sposobność do pokazania, iż umiał uchwycić piękność tkwiącą w układzie ludzkiego kościenia; tu znów inny zmarłych wstający przypomina postawą umierającego szermierza, a grupa młodych dziewczyn przedstawia jakby odrodzenie się trzech gracyj. Drugi obraz, mający za przedmiot strącenie do piekieł potępionych, tchnie pełnym życia i gwałtowności ruchem i dziką podniosłością. U stóp zbrojnego anioła, wznoszącego się w górę wśród obłoków, szybuje rogaty diabeł, z rozpostartymi nietoperzowymi skrzydłami, niosąc na barkach piękną kobietę, podczas gdy z przeciwnej strony drugi, trzymając inną grzesznicę za nogi, strąca ją w czeluście piekielne. U dołu pod unoszącymi się w powietrzu postaciami widzimy burzliwy zgiełk i bój przed otworem piekieł, oko jednak nie błąka się w tym rozpaczliwym zamęciu, znajdując podstawę orientowania się w barwie szatanów, obleczonych w kolor brązowy i różniących się od ludzi szaremi rozpostartymi skrzydłami. Równie godną podziwienia jest chwala błogosławionych na drugim obrazie. Malarz rywalizuje tu z Dantem, a nawet pod względem piękności świętych w wielu postaciach i grupach ukazuje się godnym poprzednikiem Rafała i Michała Anioła. U góry chór aniołów, złożony z grup wznoszących się coraz wyżej po półkulistych liniach, śpiewa i gra na harfach i lutniach; we środku dwaj pełni wdzięku aniołowie sypią kwiaty, a niżej jeszcze inni zstępują wśród wybranych z wiencami wiecznego życia. Radość i szczęście tego grona wydatnie tak w ruchach i postaciach pełnych namaszczenia i szlachetnego spokoju, jak w ognistym zachwycie i niewypowiedzianym uniesieniu. Obrazy te oplata rama z bogatych arabesk, wśród których ukazują się głowy starożytnych poetów, jak Hezyoda, Wirgiliusza, tudzież sceny mitologiczne, będące w symbolicznym związku z głównymi obrazami. Zastępują one dawne paralele, ze starego testamentu czerpane, świadcząc o odrodzeniu się humanizmu.

Florentczycy dosięgli panowania nad formą przez żywe uchwycenie rozkwitającego dokoła nich życia. W Padwie, mieście uczonym, uniwersyteckim, postęp polegał na gruntownych studiach perspektywy i antyków. Tu uczono, jak utrzymać pewien stały punkt widzenia dla całej kompozycji, jak pokonać i z zupełnym złudzeniem odtworzyć najtrudniejsze skrócenia rozmiarów, z pomocą światła i cieni. Tu wystawił Squarzone zbiór rzeźb starożytnych, zebranych przez siebie w czasie podróży po Grecyi i posługiwał się nimi przy nauce, by zapomocą wiernego naśladownictwa osiągnąć okrągłość kształtów cieleśnych w modelowaniu. Na podstawie perspekty-

wiecznych wiadomości rozwinął Melazzo da Forti łagodną przejrzystość swego uczucia, ukazując widzowi niebo otwarte, z całemi zastępami świętych i aniołów; Mantegna zaś (1431—1506) osiągnął ową plastyczność w odtwarzaniu ludzkich postaci, czy to w aniołach płaczących nad ciałem Chrystusa, czy też w dramatycznej scenie wziętej z legendy religijnej. On także odtwarzał życie społeczne, okraszając je blaskiem mitologii, gdy na ścianach sal jakiegoś pałacu w Mantui przedstawił czyny i koleje życia Ludwika Gonzagi, którym z góry przypatrują się rzymscy cesarze i geniusze, a płaskorzeźby kolorowane przedstawiają dokoła czyny Herkulesa. Gdy Mantegna wybiera przedmioty z dziejów rzymskich, wtedy zwykle dosięga najzupełniejszej harmonii między treścią a formą; pod jego pędzlem w „Tryumfie Cezara“ zamartwychwstały niejako płaskorzeźby z łuku Tytusa; duch starożytności tkwi w tych silnych, wielkich postaciach, pulsujących życiem i rzeczywistością.

Rozkwitająca we Florencyi i Padwie sztuka sięgała promieniami swemi daleko dokoła. Specjalny dziejopis znajdzie w każdym zakątku Włoch tradycje i zabytki z tej epoki; postęp prawdziwy jednak spotykamy głównie w Wenecyi, gdzie wydoskonalamo szczególnie sztukę posilkowania się farbami i wydobywania z nich najwspanialszych efektów. Zamiłowanie przepychu u bogatej arystokracji, wesołe usposobienie ludu lubującego się w zabawach, nadawało się do tej pstrocizny i bogactwa kolorytu; malarz prócz tego spotykał tu co krok owe barwne półcienie, tworzone przez marmurowe ściany pałaców i strojne ludzkie postacie. Jedynie malarstwo olejne mogło odtworzyć podobne cuda. Antonelli z Messyny przyniósł z Flandry tajemnicę olejnego malarstwa, które odtąd najpomyślniej rozwijało się w Wenecyi. Od początku samego malarze z Wenecyi i Murano skierowali głównie swe usiłowania na świetność kolorytu. Z Padwy sięgał tu wpływ surowego rysunku, który napróżno usiłowano pogodzić z wdziękiem. Dopiero w drugiej połowie piętnastego stulecia dążenie to zostało urzeczywistnionem przy pomocy rzeźbiarstwa. Lombardi i Leopardi, znajdując obszérne pole do rozwinięcia swych talentów na marmurowych grobowcach możnych patrycyuszów, zbliżyli się wielce do arcydzieł starożytności malowniczością układu i pięknością szczegółowego wykończenia. Spokój i pełnia form łączyły się tu najszcześliwiej, przedstawiając malarzom wyborne wzory szlachetności i okrągłości zarysów, które tylko wyczekiwały barwnego przyodziania.

Giovanni Bellini (1426—1516) był pod tym względem mistrzem nowego kierunku; działając przez dwa pokolenia, umiał do końca szczęśliwie rywalizować z młodszymi malarzami, jak Giorgione i Tycyan, którzy wyszedłszy z jego szkoły, wzniesli się następnie tak wysoko. W miejsce ożywionych dramatycznych scen, Wenecyanie mieli upodobanie w spokojnych grupach, oddanych przyjacielskiemu obcowaniu; ztąd zwali oni *santa conversazione* (święta rozmowa) obrazy, na których obok siedzącej w środku Maryi z Chrystusem na rękę, stoją na prawo i na lewo święci, a tym ostatnim różnorodność płci, wieku, postawy i gestów odejmuje piętno symetrycznej monotonii. Zamiast efektowanych kontrastów, zamiast namiętnych scen, starają się artyści odtwarzać jedynie spokojne szczęście, przez co typy blizkie rzeczywistości, a jednak skrócone z plastyczną idealnością, obudzają w widzu wewnętrzne zadowolenie; sama harmonia tych postaci, zestawionych bez łączycego je uczucia, a nawet bez religijnego przejęcia się, wywołuje podniosłe wrażenie. Aniołowie, rozstawieni na stopniach tronu Bożego i grający na instrumentach, są niejako tylko zewnętrznym symbolem prawdziwie harmonijnej całości

obrazu. Zgodnie z tym charakterem, różnaitość barw splywa w jeden pełny i przepyszny akord. Rozlana wszędzie harmonia pogodnego ducha, spokojnych ciał o doskonałych kształtach i bogatego kolorytu, nadaje tym obrazom wdzięk czarujący widza. Jak wysoko umiał się wnieść Bellini, świadczy jego Chrystus, ukazujący się uczniom w Emaus w całej swój Boskiej podniosłości, lub błogosławiący uroczyście światu; z majestatem postawy i typowością rysów łączy się tu najszcześliwiej czysto ludzki, portretowy pierwiastek; duchowa podniosłość harmonizuje ze szlachetnym ułożeniem szaty. Gentile Bellini, brat Jana, nadał swym scenom z dziejów Wenecyi nieco rodzajowego charakteru. Wiktor Carpaccio pracował szczęśliwie w tym kierunku, a jednocześnie malarstwo religijne znalazło cały szereg uprawiaczy w uczniach starszego Belliniego.

Podczas gdy ludne miasta północnej i środkowej Italii, rozbudzone działalnością umysłową i wskrzeszeniem skarbów sztuki i nauki świata starożytnego, dawały początek nowej erze w dziejach ludzkości, w ustronnych zakątkach górzystej Umbryi przechowywała się pełna prostoty, średniowieczna religijność. W stronach gdzie Franciszek z Assyżu miał nadziejskie widzenia i wygłaszał natchnione kazania, rozwinęła się szkoła malarska tchnąca uczuciowym liryzmem i wierna pełnym prostoty tradycjom początków doby chrześcijańskiej sztuki. Prostotę starano się tu łączyć z serdecznością uczucia, posuwano do marzycielskiej ekstazy; Syena była siedliskiem tej szkoły. Nicolo Alunno z Fuligno wybrał jako najwłaściwszą jej formę piękne, młodociane oblicza i odtąd zapanowały w niej wszechwładnie sentymentalnie pochylone głowy, ze słodkim wyrazem twarzy, z delikatnemi, do modlitwy złożonymi rękami, świadcząc dobitnie, iż dla wyrażenia łagodnie wzruszających uczuć, poświęcano prawdę i tętno życiowe. Pietro Vanocci z Citta della Pieve, od pobytu w Perugii zwany później Perugino, trzymał się z początku powyższego kierunku, lecz gdy udał się następnie na studia do Florencyi, nauczył się tam prostotę i jasność uczucia łączyć z prawdą życia rzeczywistego, nie zaciągając przez to religijnego charakteru postaci. Świadczy o tém wymownie malowidło w kaplicy Sykstyńskiej, przedstawiające Chrystusa oddającego klucze św. Piotrowi; obraz ten nie traci nawet na porównaniu z pracami Signorrellego, dzięki sile, z jaką myśl główna jest pojęta i uwydatniona tak w wyrazie twarzy, jak w układzie szat.

Uspodobienie ogółu wywiera często wielki wpływ na artystów, narzucając im żądania i upodobania mas. Czego Perugino umiał dokonać pod względem głębokości w wyrażaniu uczuć i pod względem kolorytu, widzimy to w jego niewiastach oplakujących zmarłego Zbawiciela (we Florencyi). Gdy nam ukazuje Maryję na wysokości, w promienną aureoli, z Chrystusem na rękę i tłum młodzieńcych postaci obojga płci spoglądający z tęsknym i pełnym zachwyta wyrazem na objawioną lecz nie odsłoniętą jeszcze tajemnicę zbawienia, czujemy iż to wypłynęło bezpośrednio z duszy mistrza. Lud jednak pragnie to samo widzieć i posiadać w licznych kopiach, ztąd arcydzieło zostaje szablonowym sposobem odtwarzane bez końca. Błękitne, miękkie oczy młodzieńców muszą odtąd zawsze z tęsknotą ku górze spoglądać, strojne dziewczęta płacziwą nastrojać minę, choć do tego niema żadnego szczególnego powodu. To co stanowiło szczęśliwy rys obrazu, rys będący wyrazem chwilowego wybuchu uczucia, zamieniło się w stały charakter i przy częstym powtarzaniu, straciło swą piękność i siłę. Delikatne, powiewne postacie tej szkoły przeniósł Pinturicchio do czysto świeckich przedmiotów, jak historia Eneasza Sylwiusza (Piusa II) w bi-

biotece katedry sieniejskiej. Układ tych obrazów jest bardzo przyjemny, ale malarz unikał tu wszelkich ruchliwszych, dramatyczniejszych momentów, ograniczając się na ceremonialnych przeważnie scenach, przez co całej opowieści nowelistyczny nadał charakter. Francesco Francia obdzielał swe postacie znacznie pełniejszymi i energicznymi ciałami; nastrój zato sentymentalny nadaje jego Madonnom pewien odcień zakłopotania; tam jednak gdzie Dziewica-matka wesoło i swobodnie spogląda na swe dziecię, leżące wśród róż, talent artysty bardzo miło i pociągające sprawia wrażenie. Skromność widniejąca w radości, z jaką powitał wschodzącą gwiazdę Rafaela, świadczy o szlachetności jego serca, którego łagodność odbija się we wszystkich pracach tego mistrza.

Rzucmy jeszcze okiem w głąb dziedzińca jednego z klasztorów neapolitańskich. Jeżeli w istocie Antonio Solaria przewany Zingaro (ponieważ był kowalem) zmarł już w 1455 r. to w takim razie nie mógł być twórcą fresków, przedstawiających życie św. Benedykta w korytarzach klasztoru San Severino, ponieważ widziemy tu tak doskonale władanie wszelkimi środkami techniki malarskiej, do jakiego sztuka dosięgła dopiero w końcu XV stulecia. Pełne siły postacie przedstawione w spokoju błogosławionego żywota, na tle to sielankowego krajobrazu, to znowu skał i lasów, należą do najdzielniejszych produkcji tej epoki. Nadają one dziedzińcowi klasztornemu piętno artystyczne, które wdraża się natługo w pamięć każdemu ze zwiedzających.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

Ideał estetyczny znalazł w malarstwie włoskiem swe doskonale upostaciowanie. Zarówno plemienne właściwości, jak barwna, o czystych zarysach przyroda i zabytki sztuki starożytnej zwracały ducha mieszkańców szczęśliwej Italii nazewnątrz; z drugiej strony chrześcijaństwo i przymieszka krwi germańskiej podczas wędrówek ludowych skierowały myśli i uczucia w głąb duszy. Ztąd już w końcu epoki średniowiecznej sztuka ogrzała sztywne tradycyjne typy nowym, ciepłym uczuciem i zaczęła wyrażać usposobienia i pojęcia moralne artystów świeżemi, charakterystycznymi rysami. Jednakże prawdziwa i zupełna piękność winna mieć piętno rzeczywistości życiowej i blask zmysłowy; ztąd też Florentczycy i Wenecyanie zwrócili się z zapalem ku wspaniałym i wesołym przedmiotom i formom, jakie im przedstawiały ówczesne szczęśliwe chwile, stanowiące pierwsze momenta nowego życia, wyswobodzonego z pod feudalnych i korporacyjnych ścieśnień. Sztuka pozostała wierną zasadom chrześcijańskim i przedmiotom religijnym, lecz tłumaczyła pierwsze zgodnie z głosem serca i sumienia, drugie zaś przybliżała do życia rzeczywistego, nadając im przybranie współczesne. Szkoła umbryjska, dążąc do odtworzenia czystej duchowości, wpadała w marzycielską egzaltację; padewska znowu modelowała swe postacie z ludzającym realizmem. Gdy poprzednie szkoły zyskały słuszną sławę przez żarliwe zabiegi nad rozwiązaniem postawionych sobie zadań, teraz nadeszła chwila harmonijnego zjednoczenia licznych i różnorodnych kierunków. Samo zewnętrzne zebranie i zestawienie nie doprowadziłoby do tego; jedynie geniusz mógł, przyswoiwszy sobie wszystkie doskonale postępy, zlać je w ograniczoną, jednolitą całość, dla wypowiedzenia swych idei. Musiał się przeto pojawić nowy idealizm, musieli pojawić mężowie, którzy żyjąc w wielkich centrach życia, zdolni byli odtworzyć w ideale własnego serca ideał całej epoki. Gromadzili oni owoc długowiekowego rozwoju i oddziaływania wzajemnego fizycznych i historycznych warunków. Życie ich szybko przeminało, ale pozostawione dzieła są nieśmiertelną puszcizną całej ludzkości.

Emancypacja ducha ludzkiego, która w Niemczech dokonała się przez wyswobodzenie sumie-

nia z pod zewnętrznych powag, we Włoszech urzeczywistniła się przez wykształcenie duchowe. Wraz z dziełami greckich poetów i myślicieli, odnaleziono posągi bogów i bohaterów; one to otworzyły oczy artystów i narodu na piękność i wielkość tkwiące w prostocie, na pełne podniosłości zlanie się formy z treścią, na wybitne odznaczenie istotnych cech, pozwalające w zjawisku rozpoznać jego istotę. Wszystkie te wielkie zasady zużytkowano dla samodzielnej twórczości, bez posiłkowania się kopiowaniem artykułów. Uszlachetniający i wyzwalający ducha wpływ sztuki dał się uczuć w całym narodzie; malarstwo stało się dla niego najulubieńszą i najrozumialszą mową, i ztąd to lud włoski otoczył swych mistrzów takim współczuciem, ztąd ci ostatni spotykali wszędzie bodźce, zachęty i pomoce. Każde ważniejsze dzieło sztuki staowało się faktem doniosłym; książęta, prywatni bogacze i municypalność rywalizowali z dwoma papieżami: potężnym Juliuszem II i świętym Leonem X, w zabiegach o to, by medycejską epokę w Italii postawić na równi z wiekiem Peryklesa. Jak wtedy plastyka, tak podówczas i malarstwo przeznaczone było do unieśmiertelnienia jednej z najświetniejszych chwil w rozwoju ducha ludzkiego; jak wtedy na podstawie pięknej cielesności urzeczywistniano ideał fizycznego piękna, w równowadze pierwiastku zmysłowego z duchowym, tak teraz duchowa piękność i wielkość posłużyła do nadania widomym kształtom ideałowi, pod lekką cielesną powłoką.

Rzeźbiarskie utwory artystów takich jak: Baccio, da Montelupo, Benedetto da Ravazzano, a szczególnie Francesco Rustici i Andrea Sansovino, świadczą iż studyowanie antyków nie spowodowało w rezultacie starania o wierne aż do złudzenia odtwarzanie ciała przy pomocy malarstwa, że obecnie przestawano jedynie na jasnym i spokojnym wyrażaniu istotnych cech odtworzonej postaci, zapomocą odpowiedniej postawy, ubioru, gestów i t. p. Chrześcijańskie idee zlały się tu harmonijnie ze starożytnymi formami; zatrzymano wprawdzie rysy charakterystyczne, jakimi od czasu Giotta sztuka stopniowo zubożała się, dla wyrażenia moralnego stanu duszy i kierunku życia, ale przekształcono takowe, nadając im, odpowiednio do potrzeby, bądź majestatyczną uroczystość, bądź powabną łagodność. Ubiór, otaczając postać wspaniałą draperią harmonijnie biegnących fałdów, nie zasłania ciała, ale uwydatnia jego kształty. Patrząc na św. Jana Chrzciciela, jak z pełnym namaszczenia ruchem trzyma czarę z wodą nad głową Chrystusa, czytamy w jego rysach wewnętrzne przejęcie się uroczystością tej chwili, którą słusznie uważał za najważniejszą w swym życiu. Chrystus, którego nagie ciało swą doskonałą budową odbija duszę bez zwały, stoi poważnie i pełen prostoty, skrzyżowawszy ręce na piersi. Równą doskonałością odznacza się inna grupa, pochodząca także z pod dłuta Sansovina. Marya trzyma Jezusa na ręku; babcia dziecięcia Anna pieści i bawi się z wnukiem; młodociana piękność i macierzyńska radość matki Zbawiciela, pośród podeszłej starości z jednej, a dziecięcej świeżości z drugiej strony, przesłiznaną tworzą harmonię. Największą też zasługą tych rzeźbiarzy jest rozszerzenie poczucia piękna formy udoskonalonej podług starożytnych wzorów, z czego społeczeństwo malarze wiele skorzystali.

Sztuka włoska nie dobiega swego szczytu w jednym, jedynym mistrzu, jak dramat angielski w Szekspirze, lecz jak w Niemczech później stoją obok siebie Lessing, Goethe, Schiller, tak tutaj Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Rafael sięgają wyżyn niedoścignionej doskonałości, a przecież tuż obok nich stoją jeszcze Correggio i Tycjan, w swój odrębnej wspaniałości.

Pomiędzy wielostronnie uzdolnionymi mężami epoki odrodzenia, Leonardo da Vinci (1452—1519) należy niezawodnie do najhojniej obdarowanych. Jego własnoręcznie skróślony wizerunek przedstawia ideał męskiej piękności, pełnej energii i życia. Był on tak silnym, iż łamał w ręku podkowy, a jednocześnie tak czulego serca, iż zakupywał na targu klatki z ptakami, by obdarzać wolnością biedne stworzenia. Obok tego słynął

jako wyborny jeździec, tancerz i rębacz, a pomiędzy ówczesnymi badaczami natury zajmował pierwszorzędne stanowisko. Od studyów nad fizyką i mechaniką, przeszedł do praktycznych inżynierskich zajęć, jak budowa wodociągów, i tworzenia śmiałych planów, jak połączenie Florencji z Pizą za pośrednictwem kanału i wyniesienie w górę Baptisterium florenckiego zapomocą podmurowania od spodu odpowiedniej podstawy. Dla wytłumaczenia przyjacielskich kilkoletnich stosunków jego z Cezarem Borgia, przy którym pełnił obowiązki nadwornego inżyniera, przypuszczać należy iż przyciągała go, równie jak i Machiavellego, bohaterka energia tej osobistości, która bogactwa sił i zdolności, pozwalającego rokować najpiękniejsze dla dobra ogólnego owoce, użyła wyłącznie na zaspokojenie swych żądz samolubnych. Gdy Ludwik Sforza w Medyolanie przywłaszczoną władzę starał się nie tylko zabezpieczyć siłą, lecz utrwalić blaskiem nauki i sztuki, Leonardo napisał doń dotąd przechowany list, w którym poleca się ze swymi usługami i umiejętnością budowania machin obłężniczych, straszliwych bomb, łatwych do przenoszenia a nie zapalnych mostów, zakładania min bez żadnego szelestu, środki burzenia wałów i wież i t. p.; w czasie pokoju zaś mógł być pożytecznym przez budowanie publicznych i prywatnych gmachów, wodociągów; przytém w rzeźbie i malarstwie potrafił to wszystko wykonać, co kto inny. Jednakże, jak Vasari opowiada, został do Medyolanu powołany najprzód w charakterze lutnisty, gdyż przy swém poetycznym uzdolnieniu i biegłości w muzyce, umiał wprawiać w zachwyt słuchaczy improwizacyami, śpiewanemi przy towarzyszeniu lutni. Wkrótce jednakże działalność wszechstronnego artysty zwróciła się głównie do modelowania konnej statuy Franciszka Sforzy i tworzenia nieśmiertelnej Wieczery Pańskiej, a przytém on sam zastępował dla swoich uczniów całą akademią sztuk pięknych, będąc równie dzielnym mistrzem w architekturze, rzeźbiarstwie i malarstwie, jak biegłym w anatomii i perspektywie, o czém świadczą zastosowania i drukiem ogłoszone pisma. Nienasycona żądza przyglądania się i spostrzegania zniewalała go do gonienia za wrażeniami pośród zgłębliwego tłumu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Krucjata filozofii oświaty.

Przyczynek do stuletniego obchodu ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Wystawa powszechna w Filadelfii jest wielką uroczystością, którą w oczach stariej Europy młoda Ameryka święci koniec pierwszego stulecia swojej wolności, oraz materialnego i duchowego rozwoju, któremu równego niema prawie przykładu w dziejach. Dnia 4 lipca 1776 r. deputowani trzynastu kolonij angielskich w północnej Ameryce podpisali w Filadelfii akt, ogłaszający ich niepodległość. Tegoż samego jeszcze wieczora dokument ten został ludności miejskiej uroczysto odczytany, poczem wśród radosnych okrzyków zebranych tłumów, pozdierano z publicznych gmachów godła angielskie i oddano je na pastwę płomieniom.

Owemi trzynastoma Stanami, które w dniu tym rozpoczęły zawód swój polityczny, były: New-Hampshire, Massachusetts, Connecticut, Rhode Island, New-York, Pensylwania, Delaware, New-Jersey, Maryland, Wirginia, Północna i Południowa Karolina i Georgia. Położone między górami alleghańskimi i morzem, liczyły one trzy miliony mieszkańców; dzisiaj Stany Zjednoczone rozciągają się od Atlantyckiego do Cichego oceanu, na przestrzeni czterech razy większej od Francji, i liczą przeszło czterdzieści milionów mieszkańców; a można przypuścić że pod koniec bieżącego stulecia jeżeli nie zajdą jakieś nieprzewidziane katastrofy, cyfra ludności unii północno-amerykańskiej wzrośnie do stu milionów i że pół-

nocna Ameryka, po Chinach, będzie najludniejszym państwem na świecie.

Po szczęśliwym zrazu początku wojna nie przybięrała pomyslnego dla zrewoltowanych kolonij zwrotu. Jerzy Washington, niedaleko Nowego Yorku na równinach White, dnia 28 października 1776 r. przez przeważające siły Anglików pobity, musiał wyspę Manhattan opuścić i cofnąć się na prawy brzeg Hudsonu, do twierdzy Kee; naprędcę zebrana milicya jego sprzykrzyła sobie wkrótce rzemiosło wojenne, do którego nie przywykła—sprawa wolności zdawała się zgubioną. Wśród takich okoliczności, dnia 1 listopada 1776, *Benjamin Franklin* odpłynął na okręcie „*Reprisal*“ do Francji, aby tam szukać pomocy której ojczyzna jego potrzebowała. Znalazł ją, i uciśnione, ujarzmione, nęcane przez kraj macierzysty osady, wywalczyły sobie wolność, za którą krew i mienie swoje poświęciły. Jak wielki udział w chwale tej przypada Francuzom, tego nie może nigdy zapomnieć Ameryka, a tém mniej pominąć milczeniem historya. Epizod ten jest ostatnią świetlaną kartą, ostatnim jasnym czynem, którym się stara Francya głęboko w pamięć potomności wpisała. Grała tam wprawdzie rolę i zawiść ku Anglii. Francya, stając po stronie Amerykanów, chwyciła sposobność pomszczenia się na swoim odwiecznym wrogu, który ją w siedmioletniej wojnie upokorzył, a pokojem hubertsburskim wyrugował z zachodniej półkuli; ale nie można zaprzeczyć, że w zapale w jakim Francya wstąpiła w szranki w obronie walczących o niepodległość kolonij, wiał prąd wyższy i czystszy, prąd najszlachetniejszego natchnienia. Było to rzeczywiście owo godne bogów widowisko, widowisko bezinteresownej walki za ideę, której blichtrzem tylekroć Francuzi swoje zachcianki zaborecze pokryć usiłowali. Była-to „krucjata filozofii oświaty wieku osiemnastego“, jak trafnie nazwano udział Francji w północno-amerykańskim powstaniu, podziwienia godny czyn wspianiałomyślności ze strony rządu, który sam codziennie spotykał się oko w oko z rewolucją, kiedy powstańcy głosili wszechwładztwo ludu, odwieczne prawa człowieka i rzeczpospolitą, a korzyści jakie Francya z przymierza z Amerykanami odnieść sobie obiecywała, nie mogły iść w porównanie z ofiarami, jakie w ich obronie w pieniądzach i ludziach poniosła. Krucjata ta, stanowiąca jedną z najjaśniejszych i najpiękniejszych kart dziejów Francji, zasługuje na to, aby pamięć jej w kilku zarysach pióra odświeżyć, w chwili gdy po tamtej stronie oceanu odbywa się wielka uroczystość narodowa, z powodu stuletniej rocznicy owego pamiętnego dnia 4-go lipca.

I.

W chwili gdy miotany burzą i ścigany przez statki angielskie „*Reprisal*“ zdążył ku Nantes, stan rzeczy we Francji sam z siebie zbliżał się ku nieuniknionemu rozwiązaniu. Pojawiały się już znaki, zwiastujące o przebudzeniu się ludu. Słabość Ludwika XVI-go i lekkomyślność Maryi Antoniny nie potrafiły powstrzymać ruchu; ich samych miał on pochłoniąć. Jednak podczas gdy filozofowie, politycy i ekonomiści, Wolter, encyklopedyści, Montesquieu i Targot, wraz ze szkołą swoją, podkopywali skazaną na upadek budowę, a mieszczenie i lud gotowali się wysadzić ją w powietrze—królestwo i szlachta żyli w nieustającym upojeniu festynów, w ciągłym tańcu na wulkanie.

Wśród takiego zamętu zjawiał się Franklin w Paryżu. Wraz z dwoma swoimi ziomkami, Silasem Deane i Arturem Lee, z których pierwszy już przed nim stanął był w Europie, przybywał on w imieniu tych, co niepodległość Ameryki ogłosili, żądać od Francji opieki i czynnej pomocy. Choć starzec już siedemdziesięcioletni, nie mógł się od powierzonej sobie misji wymówić. „Stary jestem—rzekł, podejmując się zlecenia—i nie na wiele już przydam się na świecie; ale jak to kupcy mawiają, kiedy im się już kończy sztuka jakiej materyi: to już resztką, weźcie ją po cenie, jaką sami naznaczycie.“

Sława filozofa, uczonego i humorysty poprzedziła we Francji księgarza filadelfijskiego, wydawcę „*Kalendarza dobrego Ryszarda*“, jednego z najwyborniejszych pism ludowych. Imię jego, niby iskra elektryczna, przebiegło przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Prosta powierzchowność przybysza, niedbale zaczesane, niepudrowane a białe jego włosy, skromny surdut brunatny, ordynaryjne jego trzewiki—wszystko w człowieku tym budziło publiczne zajęcie. Młodzi i starzy zachwycali się wynalazcą konduktora piorunowego, autorem „*Przysłów starego Henryka*“, za-atlantyckim oryginałem. Biesiadę po biesiadzie na cześć jego wyprawiano. W skromnym swoim mieszkaniu w Passy pod Paryżem, nowy ten Sokrates i Newton przyjmował odwiedźiny uczonych mężów stanu i dam modnych. „*Franklin*—powiada Edward Laboulaye, jeden z Francuzów najgruntowniej znających Amerykę—jest mędrcem prawdziwym. Życie uczy go żyć i chętnie udziela on towarzyszom wędrówki, młodym i starym, owoców swego doświadczenia. Jednoczy w sobie łagodność starca z żywością młodzieńca i nie zna ani zniechęcenia, ani wstrętu. Zawsze gotów do walki z ludźmi i rzeczami, zachował on duszę równie czystą, jak ciało. Jest w nim coś prawdziwie męskiego, a zarazem pogodnego, co najbojaźliwшему odwagi, a najniezaradniejszemu energii dodaje.“

Bez wątpienia nie podobna było znaleźć człowieka, któryby skuteczniej mógł w Paryżu reprezentować i popierać sprawę amerykańskiej niepodległości.

Przez księcia Larochevoucauld wprowadzony do paryskich salonów, widział Franklin doskonale, że drażliwe jego położenie nakazuje mu jaknajwiększą oględność, i dlatego postarał się również o posłuchanie u ministra spraw zagranicznych, hrabiego de Vergennes, nie powołując się bynajmniej na swój urzędowy charakter.

Hrabia de Vergennes nie był wprawdzie geniuszem, ale bardzo zręcznym i bystrym w każdym razie dyplomatą; dla usiłowań Amerykanów czuł on od samego początku żywą sympatya. Już na rok przedtém wysłał był oficera francuzkiego, Acharda de Bonvouloir, do Filadelfii, aby się tam w stanie rzeczy rozpatrzył i dokładny raport ze spostrzeżeń swoich złożył. Niektóre zaszły tam wypadki, a mianowicie zimna krew i umiarkowanie Washingtona, uwielbieniem przejmowały ministra.

Vergennes był zatem jednym z najgorętszych orędowników zrewoltowanych kolonij; on to głównie skłonił w końcu dwór francuzki do wejścia w przymierze z powstańcami. Po akcie 4 lipca przedstawił Ludwikowi XVI konieczność pośredniczenia na rzecz Amerykanów. Król wahał się. Miał on z pewnością ochotę dokuczyć Anglii, ale przedewszystkiem był monarchą, i to monarchą z łaski Bożej, trudno mu zatem przyszło zdecydować się na popieranie pieniędzy i wojskiem ruchu, który zwycięstwo politycznej i religijnej wolności na sztandarach swoich wypisał. Do tego jeszcze powstańcy byli dotąd ciągle pobijani, a dopóki Washington stanowczych nie odniósł korzyści, Francya nie mogła im użyć pomocy. Zadanie Franklina było zatem niesłychanie trudne i byłoby się zapewne w niwecz rozbiło, gdyby we Francji nie znalazły się zastępy ochotników, którzy z zapalem ofiarowali Amerykanom dzielne swoje ramiona i znajomość sztuki wojennej. Ci to ochotnicy jedynie, przypuściwszy że okoliczności sprzyjać będą ich przedsięwzięciu, mogli skłonić rząd francuzki do wzięcia w sprawę tej udziału.

Szlachta francuzka widziała wprawdzie już wtedy piętrzącą się powódź, grożącą zalewem starą Francji; ale nie zapominała i o klęskach które w wojnie siedmioletniej z łaski Anglii poniosła; pałała więc żądzą ofiarowania Washingtonowi dzielnych swoich mieczów.

Nie miała jednak Ameryka gorętszego i wymowniejszego zwolennika we Francji, nad owego słynnego i osławionego autora *Pamiętników*, wtórcę „*Figara*“, barona de Beaumarchais „którego sztuki odgrywały się zarówno w pałacu sprawiedliwości, jak na scenie, i którego mnogie pro-

cesa zwykle efektownych dramatów postać przybięrały“. On to zdołał usunąć przeszkody napozór nieprzełamane, stające na drodze dostawie broni i zapasów żywności do Ameryki. On-to mianowicie zdołał przełamać opór ministra Maurepas, chociaż po długich zaledwie mozolach, i otrzymał nareszcie, wraz z przyjacielem swoim Barbue-Dubourg'em upoważnienie do zapewnienia Amerykanom trzech milionów liwrow kredytu w towarach i do wysłania dla nich broni i żołnierzy.

Gdy tedy on sam w ten sposób piętnaście tysięcy karabinów powstańcom wyjednał, przyjaciel jego znalazł się w możności zawiadomienia Franklina, że zwerbował dla armii amerykańskiej półkownika Bois-Bertrand, byłego porucznika Favely i trzeciego jeszcze oficera nazwiskiem Davin, do których przyłączyli się dwaj inżynierowie: Potter de Baldivia i Gille de Lomont. W rok później udali się tam jeszcze, z polecenia rządu francuzkiego, potajemnie inni inżynierowie, równie jak oficerowie artylerji, którzy z Hawru puścili się na morze, w okręcie przez Beaumarchais'go najeżym.

W tym samym czasie stał w fortecy Metz pewien młody oficer, na którym wiadomość o ogłoszeniu się osad amerykańskich niepodległemi nieopisane wywarła wrażenie. Oficer ten nazywał się Lafayette. Był on margrabią i miał dwakroć sto tysięcy liwrow rocznego dochodu. Choć liczył dopiero lat dziewiętnaście, był jednak już od trzech lat ożeniony z panną de Noailles, a zatem zarówno urodzeniem, jak związkami rodzinnymi do najwyższych sfer szlachty francuzkiej należał.

Przypadek który w sprawach ziemskich tak wielką rolę odgrywa, chciał, żeby księżę Gloucester, brat Jerzego III króla Anglii, miasto Metz w r. 1776 odwiedził. Marszałek Broglie wydał ucztę na cześć dostojnego gościa, na którą także zostało zaproszonych kilku oficerów miejscowej załogi, a między nimi i młody margrabia. Rozmowa zwróciła się na sprawy amerykańskie. Lafayette znalazł zaledwie powierzchownie i prosił obecnych Anglików, aby mu najnowsze wypadki ze wszystkimi opowiedzieli szczegółami. Wysłuchawszy wszystkiego, zmienił natychmiast zdanie swoje, dotąd powstaniu nieprzychylny, i postanowił odrazu udać się do Ameryki i wziąć czynny udział w tym boju za wolność toczonym. „Zanim się obiad skończył—mówił później sam o sobie—serce moje było już dla tej sprawy zjednané.“ Ale pułk swój opuścić!... Co tu począć?... Udał się z prośbą do hrabiego Broglie, lecz ten mu odpowiedział: „W moich oczach stryj pański we Włoszech, a ojciec pod Münden poległ—nie mogę więc przyczynić się do wygaśnięcia domu waszego, poczwalając ponu udać się do Ameryki.“ Tyle jednak uzyskał u marszałka, że go przedstawił baronowi von Kalb, Niemcowi w służbie francuzkiej, którego księżę Choiseul posyłał był przedtém do Kanady. Kalb pochwalił zamiary Lafayette'a i zaprowadził zapaleńca do Silasa Deane. Amerykanin jednak uznał Lafayette'a zbyt młodym na to przedsięwzięcie i odrzucił wprost jego propozycya.

W naturach wyższych nieszczęście budzi zwykle cnotę ofiarności. Gdyby Amerykanie byli zwycięzcami, kto wie czy Lafayette nie byłby uległ zdaniu swoich przełożonych. Ale Washington, pobity przez dwóch braci Howe, admirała i generała, cofał się właśnie ze swojemi wojskami i to umocniło Lafayette'a w jego postanowieniu. Uzbroił okręt własnym kosztem i podczas gdy sam udał się na wycieczkę do Londynu, w największej tajemnicy robiono przygotowania do wyprawy jego za ocean.

Król zganił ten krok, rodzina zapłonęła gniewem i wyrobiła sobie na „młodego waryata“ *lettre de cachet*; wszystko napróżno. Przyszły wódz, przebrany za kuryera, stanął w Bordeaux, ztamtąd z kilku innymi oficerami dostał się do Hiszpanii, zastał tam swój okręt, siadł na pokład, napisał do pana Maurepas że milczeniem jego uważa za „tajemny rozkaz“, i 26 kwietnia 1777 puścił się ku dalekiemu zachodowi.

Po siedmiodniowej przeprawie wysiadł na ląd w Charleston, przebył konno obie Karoliny, Wirginia i Maryland, i udał się do Filadelfii, gdzie zasiadał kongres. Wraz z nim ofiarowało swoje usługi powstańcom kilku jeszcze ze szlachty francuskiej, a między nimi: Gimat i Pontgibant adjutanci Lafayette'a, Armand de la Rouerie, de Fleury, Mauduit du Plessis, de Ternont, de la Colombe, Touzard, l'Emfant i inni.

Obok nich jednak nie zbywało na awanturkach najrozmaitszych narodowości, którzy w Ameryce karyery tylko szukali i którzy, mniej więcej do niczego nie zdolni, podejrzanego charakteru, zarzucali tylko niepotrzebnie kongres najdziwniejszymi i najzuchwalszymi projektami. Lafayette'a zaliczono tu także do tej kategorii ludzi, i ofiary jego, narówni z ich propozycjami, odrzuciono. Młody margrabia nie dał się tym jednak odstraszyć i przesłał do zgromadzenia podanie następujące „Po ofiarach jakie poniosłem, mam prawo dwóch rzeczy żądać: żeby mi wolno było służyć o swoim koszcie i jako prostemu ochotnikowi służbę rozpocząć.“

Kongres, nieprzyzwyczajony do podobnego języka, wydał następującą uchwałę: „Zważywszy, że margrabia de Lafayette z wielkiej gorliwości dla sprawy wolności, o którą Stany Zjednoczone walczą, ojezyznie i rodzinę porzucił i przybył usługi swoje Stanom Zjednoczonym ofiarować, nie żądając za to ani żołdu, ani żadnego wynagrodzenia, i ponieważ ma odwagę życie za naszą sprawę narażać, stanowimy: że usługi jego zostają przyjęte i że ze względu na swoją żarliwość i swoją dostojną rodzinę i koligację, stopień i miejsce generał-majora w armii amerykańskiej ma otrzymać. Dan 31 lipca 1777.“

Lafayette został przedstawiony naczelnemu wodzowi armii. Amerykanom wstydził się elegancji oficerowi marszałka Broglie pokazać żołnierzy, z których najlepiej ubrani zaledwie kaftany z szarego płótna mieli na sobie. Cudzoziemiec atoli, gdy mu się jego nowy zwierzchnik począł usprawiedliwiać, odpowiedział skromnie: „Nie uczyc, ale uczyć się tutaj przybyłem.“

Tą skromnością od razu zjednał sobie przyjaźń Washingtona. I ochoczo też zastosował się do wszystkich wymagań w każdym razie niepewnego jeszcze położenia, i dowiódł Amerykanom, że w ich, a nie we własnym przybył interesie. Poświęceniem swoim dla sprawy, równie jak szlachetnością, zmusił wkrótce do milczenia wszelkie potwarze, rozbroił nienawiść i wskazał Ludwikowi XVI-u drogę, jaką Francya ma postępować.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Instykt i inteligencja zwierząt,

przez M. N. Joly.

(Dalszy ciąg).

Gdy widzę że mój pies, słysząc nagły hałas na ulicy, nastawia uszy, zwraca głowę ku oknu, biegnie na ganek, wspina się na tylnych łapach i bacznie spogląda na miejsce z kąd go ów hałas dołatuje, wtedy pomimo pięknych rozumowań Descartes'a, Malebranche'a i tylu innych, muszę mniemać że mój Hektor słyszał, widział, uważał, poszedł za uczuciem ciekawości, słowem postąpił tak samo, jak jabym w podobnym zdarzeniu postąpił.

Odbieranie wrażeń, uwaga, wykonywanie ruchu ku oznaczonemu celowi, są-to przecie czynności które—jeśli nie chcemy wyprowadzać wniosków wbrew wszelkiej logice—zasługują na nazwę intelektualnych, myślowych lub psychicznych, tém samém prawem, jakim to miano nadajemy czynnościom, które my wykonywamy w podobnych okolicznościach.

Jeśli psa uderzam za jakieś przewinienie, jeśli on wtedy skomli i skowyczy żałośnie, czyż nie wypada ztąd wnioskować, że pies czuł boleść i że starał się jej uniknąć?

Sam Buffon przecie, gdy zapominając o filozofii, chciał być przyrodnikiem, uznawał że zwie-

rzęta czują. Otóż, jak mówi Condillac, albo zdolność uczucia u człowieka i zwierząt należy rozumieć jednakowo, albo też zgodzić się na to, że gdy mowa o zwierzętach, do wyrazu tego nie przywiązuje się żadnego znaczenia.

Lecz tutaj rozpoczynają się trudności.

Niektórzy filozofowie, jak Henryk Joly, zgadzają się wprawdzie na to że zwierzęta czują, ale według nich czują one inaczej, niż ludzie.

Pojęcie uczucia jest bardzo nieokreślone. W znaczeniu pospolitem wyraz ten oznacza działanie zachodzące w organach czujących, lub za takie uznawanych. Jest-to więc wrażenie, którego doznaje pobudzony organ zmysłowy. To wrażenie, przeniesione do mózgu za pomocą tkanek nerwowych, zmienia się tam—przez proces dotąd niewyjaśniony—w myśl, czyli obraz mniej lub więcej dokładny przedmiotu, który wrażenie wywołał.

W takim razie nastąpiło odebranie, przyjęcie świadome przez zmysły owego obrazu, owę myśl. Ale ztąd wynika widoczne następstwo, że pojęcie zmysłowe (percepcja) jest wcale różnem od wrażenia, od uczucia które poprzedza to pojęcie i dostarcza doń materiału.

Niesłusznie zatem te dwa wyrazy, oznaczające dwa czynniki odrębne, uważane bywają za jednoznaczne, i to przez pierwszorzędnych filozofów, z których wymienię tylko Dugald-Stewart'a i Jouffroy. W ich dziełach czytamy, że oko przyjmuje (świadomie) światło, ucho dźwięki, nos zapachy, tak, że trafnym jest zdanie p. Gerdy, który mówi że w tym razie pojęcia brane są w znaczeniu wprost odwrotném, gdyż zmysły przyjmują świadomie, a więc myślą, a mózg lub dusza czuje i nie posiada myśli; kiedy właśnie dzieje się wprost przeciwnie.

W organach zmysłów przeto zachodzi wrażenie, uczucie, czyli podrażnienie fizyczne; w mózgu natomiast, pod nadzorem duszy, wrażenie zamienia się w myśl, za pomocą procesu psychicznego, któremu wyłącznie należy się miano *pojmovania*. Zmysł odbiera wrażenie za pośrednictwem nerwów uczucia: pierwiastek duchowy wrażenie to pojmuję za pośrednictwem mózgu.

Taką jest, jeśli się nie mylę, teoria przyjęta, lub która powinna być przyjęta powszechnie.

Wszelako imiennik mój, p. Henryk Joly, stawiał teorią inną, lubo wątplię, aby ogół badaczy zgodził się na nią. Podług pana H. Joly, „między inteligencją (ludzką) a wrażeniami fizycznymi, wywołanymi w naszych organach przez zjawiska zewnętrzne, istnieje niezawodnie łącznik, to jest instykt, zależny i od wrażeń, i od inteligencji i wypełniający przerwę między nimi. Lecz u człowieka inteligencja panuje nad instynktem, kieruje nim i tylko podrzędną mu rolę pozostawia, u zwierzęcia zaś zmysł sam tylko kieruje umysłem i proces ten cały nie przekracza granicy instyktowości.

Nie na tém koniec. Pan H. Joly twierdzi, że ucho *żąda* słyszeć w ten a nie w inny sposób, że oko *potrzebuje* widzieć wyraźnie przedmioty i że tak oko jak ucho, kierowane przez instykt, a więc bezwiednie, zwracają swoje ruchy ku celowi żadanemu. (*) Lecz czy można powiedzieć na-

(*) Ta hipoteza, lubo niedość jasno przedstawiona, wydaje się nam—wbrew zdaniu uczonemu autora artykułu—o tyle przynajmniej słuszną, że wola może niekiedy istotnie kierować zmysłem słuchu, wbrew nawet rzeczywistości. Słynny muzyk, Robert Schumann, był wcale nieprzydatnym na dyrektora orkiestry, z tej przyczyny, że podczas próby nie słyszał niedokładności wykonawców, gdyż zatopiony w czytaniu partycyi, odbierał w uchu nie wrażenie wykonania rzeczywistego, lecz takie, jakie być było powinno. Pewnego razu (fakt-to znany w całych Niemczech) Schumann, mając dyrygować symfonią Beethovena, przedził żonę iż zwróci jej uwagę na jeden nstęp, w którym zachwycało go umiejętne użycie waltorni. Rozpoczęto próbę i gdy ów nstęp nadszedł, Schumann dągle dyrygując, szepnął do siedzącej obok żony: „A co, Klaro, co za efekt! czy słyszysz? tylko Beethoven mógł mieć tak genialny pomysł!“ Tymczasem pierwszy waltornista był chory i nie przyszedł na próbę, a inni, nie otrzymawszy znaku do rozpoczęcia, nie grali wcale. Zatem Schumann, pragnąc słyszeć waltornie, słyszał je mocą swojej woli, ku temu celowi wyteżonej. Jest-to więc, jak mówi p. H. Joly, instyktowe, bezwiedne kierowanie ruchów organu ku celowi żadanemu, które, poparte nadmiarem woli, doprowadza do halucynacji. Do tego samego

ukowo, że ucho *żąda*, że oko *widzi* i kieruje swoje spojrzenie w tę lub ową stronę? Czyż żądać i patrzeć są to czynności czysto automatyczne, a więc instyktowe? Przecież żądanie i spojrzenie wskazują stan czynny duszy, a nie bierne wrażenia. I tutaj więc zachodzi sprzeczność w określeniu. I nie możemy uznać, aby wrażenie u zwierząt było całkiem inne niż u człowieka i aby ono tylko, wraz z instynktem, wystarczało do wyjaśnienia wszystkich czynności zwierzęcych.

Zgadzam się na to, że wrażenia zwierząt różnią się często w wysokim stopniu od naszych, pod względem żywości, subtelności, a nawet istoty swojej; uznaję że te wrażenia zmieniają się wedle gatunku i instyktu zwierzęcia; ale mechanizm i strona fizyologiczna wrażenia są jednakowe u nas i u zwierząt, bo choć wistocie wrażenia są różnej natury, jednak jeden tylko jest sposób ich odbierania.

Dlatego to z głębokim przekonaniem powiadam: zwierzęta czują—i czują w tenże sam sposób. Anatomia, fizjologia porównawcza, analogia, indukcja, słowem wszystko utwierdza mnie w tém zdaniu. W niektórych wypadkach nawet zmysły zwierząt są przenikliwsze i subtelniejsze od naszych: wszakże sęp spostrzega swoją ofiarę z takiej wysokości, z której człowiek nietylko drobnego ptaszka, ale nawet dużego zwierzęcia rozróżnić nie zdola. Spallanzani, chcąc się przekonać o delikatności zmysłu dotykania u nietoperza, oślepił go i umieścił na progu grotu, w której miał siedzibę. Nietopierz bez wahania się przelatywał po załamach grotu; rozciągnięto płótna z porobionymi w nich otworami: nietopierz przelatywał przez otwory i ani razu nie zawadził o płótno. Subtelność węchu u psa weszła w przysłowie, i jak Buffon dowcipnie, lubo nie naukowo, mówi: „zmysł węchu jest dla psa okiem, które widzi przedmioty nietylko gdzie są, lecz nawet wszędzie gdzie były poprzednio.“

Doświadczenia fizyologiczne i bezpośrednia obserwacja dowodzą, że u zwierząt, tak samo jak u nas, mózg jest siedliskiem myślenia wogóle, zarówno jak wrażeń pojętych, to jest myśli lub obrazów przedmiotów zewnętrznych.

Wprawdzie niektórzy badacze nie zgadzają się na to, aby myśl była tylko odwzorowaniem w mózgu wpływu zjawisk zewnętrznych. Podług nich jest nieodłączną od wysiłku umysłu, dokonanego w celu rozróżnienia przedmiotu który wywołał wrażenie. „Pojęcie o jakimś przedmiocie—mówią—możemy powziąć tylko pod tym warunkiem, że zdolamy go odróżnić przynajmniej od jednego jeszcze, innego przedmiotu.“

Dajmy na to, że do utworzenia myśli potrzeba koniecznie wysilenia umysłu: czyż zwierzę ma być koniecznie do takiego wysilenia niezdołnym? Jeśli pies lub koń dąży prosto i bez wahania do domu swego pana, jeśli ten dom wśród wielu innych rozróżnia, jeśli swego pana w tłumie obcych osób poznaje, czy można twierdzić że ów pies lub koń nie ma najmniejszego wyobrażenia o swoim panu, lub o domu gdzie ma siedzibę? Czy można utrzymywać, że te czynności nie są wynikiem inteligencji, lecz tylko następstwem instyktu?

Zwróćmy się do faktów i od nich żądajmy odpowiedzi.

(Dokończenie nastąpi.)

szeregu zjawisk i pod tę samą hipotezę należy podciągnąć złudzenia, którym podlega oko, biorące jedne przedmioty za drugie, lub wytwarzające je nawet mocą wyobraźni, a więc siłą woli. Znane powszechnie fakty z życia Goethego są wybitnym tego prawdy potwierdzeniem. Przykładów wpływu żądy na wrażenie moglibyśmy przytoczyć bardzo wiele; ograniczymy się na jednym, dotyczącym zmysłu smaku. Pewnemu kupcowi w Paryżu wytoczono proces o fałszowanie wina: skarżący utrzymywał, że pijąc czuł w ustach smak jerszyn. Osiadły w Paryżu chemik, p. L. C., przyzwany jako rzeczoznawca, twierdził że wino jest czyste, a nie mogąc skarżącego przekonać, dał mu szklanke wody z sokiem, prosząc aby powiedział co pije, czy sok malinowy, czy porzeczkowy. Skarżący wypił i zawahał się, wreszcie rzekł: iż jest-to sok mieszany, z porzeczki i malin. „Jest-to tymczasem sok wiśniowy, odparł p. L. C., ukazując na dowód butelkę; myślałeś pan o porzeczce i malinach i dlatego smak ich uczułeś. Tak samo pomyliłeś się, gdy myśląc o jerszynach, smak ich poczułeś w winie.“

(Przypisek tłumacza.)